№ 7 Warszawa, dnia 31 Stycznia (12 Lutego) roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we ŁWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50 —w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Po pierwszem poznaniu.

Choć wicher już jesienny w smutnej dźwięczy [nucie,
Świat dla mnie od dni kilku posępność swą traci,
Ja nie wiem co się stało, lecz mówi przeczucie,
Że na mnie jakiś urok wieje z twej postaci.

Na ludzi obojętnie patrząc i spokojnie,
Nie zwykłam sentymentem szafować zbyt hojnie,
Lecz dziś sympatyi siłą wiedziona tajemną,
Tę chwilę błogosławię, co cię łączy ze mną.

Myśl moja tak stęskniona w tej jesiennej porze
Do melodyi słowiczej i do kwiatów woni,
Dzisiaj ledwie na przyszłość o tem marzyć może,

Że i do mnie twe serce łaskawie się skłoni,
A teraz tylko proszę, pozwól niechaj złożę,
Serdeczny pocałunek na twej białej skroni.

Do wątpiącej.

Apostoł pychy, kłamstwa, przewrotnej idei,
Zawzięty w swym uporze, w mądrości szalony,
Z niebios na dno przepaści gdy został strącony,
Napisał u wrót piekła: „Tu nie ma nadziei! —

I ten anioł upadły, w swej dzikiej rozpaczy,
Niewinnym, czystym duchom zazdrości zbawienia,
Choć którą Bóg znamieniem łask swoich naznaczy,
On ją pragnie sprowadzić na drogę zwątpienia.

Więc duszo chrześciańska, wierzaj mi tyś w błę-[dzie;
Gdy pod hasłem zwątpienia dążysz do stóp krzyża;
Na tej drodze nadzieja złote myśli przędzie;

Wiara do niebios tronu bez przerwy je zbliża,
A miłość w sercach ludzkich była, jest i będzie,
Tym darem co uświęca, podwyższa, nie zniża.

Emilia.

NIESZCZĘŚCIA PANNY ANNY.

OBRAZEK

przez

Waleryą Marrené.

(Dalszy ciąg).

Pani Anzelmowa nie była pozbawiona, pewnej przenikliwości, ta wprawdzie nie przechodziła po za zakres spraw powszednich bo naturalnie podchodziła pod jej działanie to jedynie co równało się własnemu poziomowi umysłowemu. Ztąd wiele bardzo uczuć, pojęć, dążeń i pragnień leżało po za jej granicą. Że jednak mało kto pojmuje własne braki i niedobory, pani Anzelmowa nie stanowiła pod tym względem wyjątku, więc kiedy spostrzegła fakt jaki podciągała pobudki jego pod normy dla siebie dostępne.

Z pewnością cały proces umysłowo sercowy który miał miejsce w Annie, był dla niej zupełnie niezrozumiały, skoro jednak spostrzegła młodego Zenona K. zwanego powszechnie w rodzinie Zeniem, odbywającego stacyę przed domem, w którym znajdowała się Anna i połączyła jego obecność tutaj, z symptomatami jakie podpatrzyła w młodej dziewczynie, domyśliła się odrazu że zachodził pomiędzy nimi podejrzany stosunek.

Trzeba przyznać na korzyść dowcipu pani Anzelmowej, iż z góry domyślała się sprawki tego rodzaju, i dlatego podobno głównie wyszła z domu i zadała sobie trud śledzenia tej całej sprawy. Wprawdzie mogła sobie powiedzieć i powiedziała sobie zapewne, że byłto jej obowiązek, ale czy każden obowiązek spełniłaby z taką skwapliwością gdyby doń nie mieszała się sercowa sprawa na które kobiety są zawsze tak łakome, to już pozostać musi nierozstrzygniętą kwestyą pomiędzy jej sumieniem a ciekawością.

Ujrzawszy widocznie wyczekującego Zenia czekała ona także z podwójną energią. Czekanie było długie. Być może iż Anna ociągała się umyślnie z wyjściem na ulicę, które dzisiaj przejmowało ją trwogą i niepokojem nowego rodzaju. Wprawdzie lękała się spotkać młodego człowieka a jednak kto wie czy nie lękała się bardziej jeszcze nie spotkać go wcale. Drżała i razem pragnęła zobaczyć go znowu. Przez te dwadzieścia cztery godzin miała czas odbudować zburzony gmach marzeń na odmiennych fundamentach i odsnuć z innego wątka zerwane nadzieje.

Trzeba przyznać że nowy romans wyrojony przez młodą dziewczynę był równie niedorzeczny jak poprzedni, równie zmijał się ze zwykłą życiową praktyką i mógł tylko powstać w głowie kobiety nie mającej żadnego o rzeczywistości pojęcia.

Powodem tych marzeń był młody nieznajomy, Anna nie mogła rozstać się z tym bohaterem, którego postawa, ruchy, głos, spojrzenie i uśmiech, odpowiadały ideałom jakie każda dziewczyna piastuje w swej wyobraźni, był to pierwszy mężczyzna

do tego ideału podobny, którego spotkała na drodze swojej.

Takie pierszeństwo stanowi nieraz o całym losie niebacznej kobiety. Anna próbowała rozstać się z myślą o nim, zepchnąć go w dal zapomnienia, wreszcie wytłomaczyć samej sobie że on nie wart był tych wszystkich uczuć jakiemi go darzyła. Daremnie. Powiedziała sobie to wszystko a jednak on nie ustąpił z jej serca i na przekor rozumowaniu panował w niem. A jego błękitny wzrok i uśmiech ust malinowych stał jej przed oczyma uparcie niezwalczenie.

Przecież nieznajomy nie był już owym bratem myśli, przyjacielem, tkliwym pasterskim kochankiem, o jakim zrazu marzyła. Marzenia te on sam rozwiał ostatecznie. Ale wyobraźnia dziewczyny była niewyczerpana. Teraz przyszło jej na myśl że ludzie zmieniają się czasem wedle okoliczności, że miłość bywa rozmaitą i przeinacza swą naturę stosownie do przedmiotu. Czyż pod wrażeniem jej oporu, jej oburzenia i on zmienić się nie mógł? Czy prosta igraszka, bo teraz nie mogła wątpić że chciał sobie z niej zrobić igraszkę tylko, nie mogła przybrać poważnych rozmiarów prawdziwego uczucia, skoro spostrzegł jak strasznie omylił się na niej? Gdyby tak było! Na tę myśl serce jej znowu uderzało gwałtownie i wszystkie dawne nadzieje budziły się tylko w innej formie i znów samowładnie opanowywały jej serce. I znowu gotową była prowadzić dalej tę grę niebezpieczną, i znów marzyła, pragnęła, kochała, całą potęgą bogatego uczucia.

Czy miała spotkać go dzisiaj? Oto pytanie, jakie powstało w jej myśli i zrywało w nich szaloną burzę. Dla niej było to zagadnienie bytu, bo nie pojmowała by po jej wczorajszym postępku młody nieznajomy mógł trwać w poprzednich planach, gdyby więc spotkał ją dziś znowu, musiałby to uczynić, jako skruszony winowajca.

Tak twierdziła jej dziecinna logika.

Pomimo to w chwili wyjścia na ulicę chwytał ją jakiś lęk niepojęty, miała przekonanie że los jej się rozstrzygnie, i nie czuła się na siłach zajrzeć w oczy przyszłości.

Nie mogła jednak zatrzymywać się wiecznie w bramie, czas naglił, wyszła wreszcie i powiodła wzrokiem w około. Latarnia paliła się tuż o kroków parę, mogła więc z łatwością poznać młodego człowieka, który stał pod jej światłem w towarzystwie groźnego Nerona.

Nie miał jednak wcale postawy skruszonej, przeciwnie palił papierosa uśmiechając się przekornie. Nie było śladu na jego twarzy, ani niepokoju, ani jakiegobądź wzruszenia, tkwiła na niej ta pewność siebie nie opuszczająca go nigdy. Była to postawa łatwa bardzo do zrozumienia, panicz nie mógł brać na seryo pracownicy, wszak on stworzonym był do używania, tylko ona do cierpienia. Marzenia z jakiemi mu się zwierzała, opór jej, ucieczka, były to dziecińśtwa lub komedye na które przecież zważać nie potrzebował.

Dla Anny jednak postawa ta była niepojętą. Spostrzegłszy go w ten sposób stanęła jak wryta. On też skorzystał z tego, zbliżył się do niej, i skłonił się lekko.

Wszystko to powiększało jej zdumienie. A Neron skacząc około swego pana, naszczekiwał wesoło. Przebiegł ją dreszcz wyraźny.

— Czy lękasz się pani mnie, czy Nerona, spytał żartobliwie.

Milczała wlepiając w niego oczy, wymowne serdeczną wymówką, której on jednak zrozumiéć nie był w stanie.

— Widząc żeś była wczoraj tak nie łaskawą na mnie panno Anno, przyprowadziłem sprzymierzeńca.

Nie była zdolną do szermierki słów, do dowcipnych odpowiedzi, coś rwało się i kruszyło w jej piersi.

A on mówił dalej, niezrażony tem milczeniem.

— Alboż Neron nie jest moim sprzymierzeńcem, alboż nie poznaliśmy się z jego łaski?

— O! zawołała rozżalona, obyśmy się nigdy nie byli spotkali.

— Nie stała ci się przecież żadna krzywda panno Anno; dodał żartobliwie.

Miał słuszność. Bo cóż znaczyły jej sny, jej marzenia zburzone, łzy które z tego powodu wylała, to wszystko przecież nic nie znaczyło dla niego.

— Spodziewam się mówił dalej, że dziś nie będziesz tak okrutną jak wczoraj. Na zgodę podaj mi pani rękę.

Wziął niemal przemocą jej rękę, bo tym razem przygotowany był na pewien opór, i znowu trzymał w swoich korzystając z jej osłupienia.

Rzeczywiście przeciwko niemu była w tej chwili bezbronna: wszystkie marzenia powracały jej do myśli, na widok tych rysów, około których je osnuła i zdawało jej się niepodobieństwem by te same usta wymawiały słowa tak różne od tych, jakie w nie wkładała, by ten człowiek którego miała przed oczyma, był tak innym, tak zupełnie innym niż ten co jawił się w jej snach, jako przyjaciel, brat, anioł opiekuńczy, kochanek, w najwyższem słowa tego znaczeniu, jakie nadaje mu dziewicze serce.

On za to wszystko odpowiedzialnym być nie mógł, on szedł swoją drogą, pełnił swoje rzemiosło uwodziciela, może nie zbyt zręcznie i dowcipnie jednak dość by dzięki niedoświadczeniu dziewczyny zakłucić jej spokój i może zniweczyć przyszłość.

Pani Anzelmowa, nie była dość blizko, by słyszéć zamienione słowa, dla nie uprzedzonego słuchacza mogły one wprawdzie służyć jeśli nie do zupełnego uniewinnienia Anny, to przynajmniej do wykazania jej winy w prawdziwem świetle. Ale pani Anzelmowa nie słyszała nic zgoła, widziała tylko ukłon, wrażenie, krótką rozmowę i podanie ręki. Wszystko to wydało się jej aż nadto wyraźne. O czemże wątpić miała? Czyż nie widziała na własne oczy, że młoda kuzynka ma pokątne znajomości i schadzki z młodym człowiekiem innego świata, o którego marnotrawstwie i rozpuście zasłyszała nieraz od służby jego ciotki.

Teraz miała dwie drogi przed sobą, albo wystąpić czynnie w tej chwili, zgromić Annę i jej towarzysza, albo też przekonawszy się jak rzeczy stoją, przedsięwziąć stosowne środki ostrożności. Za pierwszą jak za drugą przemawiały rozmaite względy, ale przeciw przemawiały także względy sprzeczne.

Pani Anzelmowa miała sposobność wystąpić w charakterze gromowładnego Jowisza i rzucić na młodą parę pioruny swego oburzenia. Sposobność ta miała swoje ponęty. Błogo jest zawsze być choć przez minutę jedną, reprezentantem Bogów, mieć moc przerażania i gromienia. Błogość ta jednak ma swoje niebezpieczeństwo i wymaga pewnych przymiotów, których szczęściem czy nieszczęściem zbrakło zupełnie pani Anzelmowej. Nie była ona wymowną a nawet w najważniejszych chwilach życia wzruszenie odejmowało jej zwykle głos i słowa. To utrudniało nieco gromowładną rolę. Przytem była niezmiernie lękliwego usposobienia szczególniej w obec pewnych osobistości, a siostrzeniec pani referendarzowej zajmującej piękny apartament na pierwszem piętrze, siostrzeniec który najczęściej zajeżdżał do cioci, rozparty w dorożce pierwszej klasy, wydawał jej się istotą odmiennej natury.

Z tych wszystkich powodów, zamiast wystąpić z czynną interwencyą, pani Anzelmowa zajęła stanowisko obserwacyjne, zastrzegając w duchu iż za to względem własnej kuzynki wystąpi z całą surowością wymaganą przez moralność i obyczaje.

Szła więc zwolna ku domowi za młodą parą układając cały szereg krwawych wyrzutów, któremi Annę obrzucić miała.

Anna i Zenio nie domyślali się bynajmniej że ich śledzą argusowe oczy. Ona przyjęła jego ramię bo nie była w stanie inaczej uczynić, bo młody człowiek narzucał się równie uparcie jej myśli, jak oczom. Chciała wreszcie raz wypowiedziéć mu wszystko co miała na sercu, prosić by jeśli nie mógł odpowiedziéć jej marzeniom, zostawił ją w pokoju, a może łudziła się tylko iż uczynić to chciała, może był to pretekst przed samą sobą pozostania z nim, podania mu ręki, może tajemna nadzieja że tym sposobem nawróci go, na swoją miłosną wiarę.

— Czemuż uciekłaś wczoraj tak nagle, śliczna panno Anno, Anulku, Andziu, mówił wesoło, nie uważając nawet jej wzruszenia.

A w głosie jego były tak miękkie dźwięki, gdy wymawiał jej spieszczone imię, iż nie miała siły mu przerywać, wpadała pod potęgę czaru, słuchała brzmienia, nie rozumiejąc prawie wyrazów.

— Przyznaj przynajmniej, że byłaś okrutną, musisz obiecać że więcej nie uczynisz tego nigdy, Ale dlaczego nic nie mówisz? oh! figlarko wiesz dobrze że piękne usta są wymowne, kiedy milczą a najwymowniejsze gdy całują.

I niepoprawny chciał znowu łączyć uczynek do słów, a pamiętając na wczorajszą ucieczkę, ściskał silnie jej ramię iż wyrwać mu się nie mogła. Zdołała tylko szybko odwrócić głowę tak iż usta jego zamiast ust, dotknęły jej włosów.

Przebiegł ją dreszcz dziwny i razem poczuła całą słabość swego postępowania, odzyskała na chwilę energią.

— Byłam szalona, zawołała, nie powinniśmy się widzieć więcej, a pan! pan mnie nie zrozumiałeś.

— Przeciwnie śliczna Andziu, zdaje mi się iż rozumiem cię lepiej niż ty sama siebie.

Ubódł ją żartobliwy wyraz tych słów źle ukrywających lekceważenie jakie w nich drgało.

— Ja źle uczyniłam, żem zamieniła z panem słówko jedno, pan nie jesteś takim jakim sądziłam.

Zrobił arcykomiczną minę, z którą było mu bardzo do twarzy.

— Cóż ja temu winien, śliczna Andziu.

Milczała chmurna. Rzeczywiście on temu winien nie był.

— Ale poczekaj Andziu, mówił dalej, powiedz mi tylko jakim mnie chcesz mieć a obaczysz że stanę się takim w tej chwili. Tylko mów, mówże prędko.

Wiedziała dobrze iż przetworzenia moralne nie odbywają się tak w jednej chwili, że co najwyżej człowiek może tylko maską pozorów pokryć, rzeczywiste uczucia. Opanowało ją bezmierne zniechęcenie. Przepaść moralna jaka leżała pomiędzy nimi, ukazała jej się znowu w całej grozie.

A on powtarzał z przymilonym uporem.

— Mówże śliczna Andziu, rozkazuj.

— To próżno, wyrzekła wreszcie, więcej sama do siebie niż do niego.

— A to czemu zapytał zawsze uśmiechnięty.

Spojrzała w oczy jego smutno i łagodnie.

— Bo my nie zrozumiemy się nigdy, szepnęła, na co się łudzić. Pan jesteś co innego, a ja co innego.

— I cóż ztąd, sprzeczności przyciągają się wzajem.

— Nie, nie, zawołała z wzrastającą mocą, trzeba nam się rozstać. Zostaw mnie pan, oto wszystko czego żądam od ciebie, zostaw mnie a zachowam ci zawsze wdzięczną pamięć.

— Oh! co to, to nie, nie puszczę cię z pewnością, śliczna Andziu, zanadto mi się podobasz.

— A gdybyś pan mnie się nie podobał, wyrzekła doprowadzona do ostateczności.

— Choćbyś mi to powiedziała, nie uwierzę.

— Więc cóż mam uczynić, ażeby pana o tem przekonać.

Cała zapomniana duma ozwała się w niej w tych słowach. Spojrzała na niego jak królowa wzrokiem pełnym iskier.

Ale wzrok ten ześlizgnął się po obojętnie uśmiechnionym obliczu Zenia. Co najwyżej Andzia w gniewie wydała mu się zabawną i ładniejszą jeszcze.

— Ja z kolei powiem ci, to napróżno, wyrzekł z szyderczą powagą, bo ja ci nie uwierzę i nie porzucę z pewnością.

Spuściła głowę nie wiedząc co odpowiedzieć a on mówił dalej.

— Nie pozostaje ci jak pogodzić się z twoim losem a wierz mi, nie jest on znowu tak gorzki, żebyś potrzebowała rozpaczać. Przyszłość jaką ci dać mogę, doprawdy lepsza od tej ciężkiej pracy przy której się upierasz jak dziecko, przecież nie będzie ci znowu tak bardzo trudno, kochać mnie trochę, albo chociażby udawać że mnie kochasz, widzisz trudno być mniej wymagającym.

Teraz spoglądała na niego szeroko otwartemi oczyma, propozycya była wyraźna, nie mogła się łudzić co do jej doniosłości.

— I pan sądzisz że ja to przyjmę, zawołała.

— Przyjmiesz, zaręczam.

Ton jakim wymówił te słowa pokazywał żelazny upór, pod aksamitną powłoką.

— Nigdy.

Roześmiał się.

— Nigdy, najdziecinniejsze ze słów ludzkiej mowy.

Doszli byli do bramy domu w którym mieszkała Andzia. On zdawał się na to nie zważać, ale ona zatrzymała się nagle. Zaczynała się lękać, nie już siebie samej ale jego.

— Więc jakże Andziu, zapytał powracając do dawnego miękkiego tonu, jak gdyby nic pomiędzy nimi nie zaszło, jesteśmy przyjaciołmi nieprawdaż?

Zrozumiała szybko że otwarcie wystąpić nie mogła, że w obec jego uporu przemowy niemal, należało jej także użyć jakiejś broni. Próbowała się uśmiechnąć, usta odmówiły jej uśmiechu, probowała przemówić nie znajdowała głosu.

— Doprawdy że cię tak nie puszczę mówił Zenio uszczęśliwiony ze swego mniemanego zwycięztwa, jeszcze nie późno, możemy przejść się trochę.

I chciał pociągnąć ją dalej.

— Ale ona zrozumiała szybko, niebezpieczeństwo.

— Dziś niepodobna, zawołała, jutro...

Rzuciła mu to słowa i on pochwycił je zaraz.

— Jutro, powtórzył, jutro pójdziesz ze mną nieprawdaż?

— Jutro wyjdę wcześniej, odparła tylko.

— A więc do jutra, wyrzekł uradowany, zbyt pewny siebie, by wątpić o jej obietnicy i poprzestając wspaniałomyślnie na tem co uzyskał.

Wypuścił z pod swojego jej ramię, czyniąc to chciał znowu złożyć pocałunek na tych ustach które się od niego odwracały, ale właśnie ulica była ludna, chciał wejść za nią do bramy, ale spostrzegł że stała tam pani Anzelmowa i cofnął się roztropnie sądząc że widzianym nie był.

Za to Anna na pierwszym kroku spotkała się oko w oko ze swoją opiekunką, a wzrok jej był tak groźny i surowy iż odczuła odrazu potępienie nad sobą ciążące.

W milczeniu szły obie na górę, pani Anzelmowa wstrzymywała wybuchy swego oburzenia. Dopiero gdy znalazły się w mieszkaniu a Anna chciała odejść do swego pokoju, stara kobieta rzuciła jej z piorunującem spojrzeniem, ten wyraz tak przerażający dla winowajców jakiego bądź rodzaju „wiem wszystko”.

Nie dodała jednak nic więcej, albowiem właśnie w tej chwili pan Anzelm przebudzał się z poobiedniej drzemki i lękała się jakimkolwiek hałasem zakłócić jego spokoju: powtóre zaś uważała za stosowne w tak ważnej okoliczności zasięgnąć jego zdania.

Zdanie pana Anzelma objawione w sposób dość burzliwy i przerywany można było streścić w sposób następujący: że panna która nie poprzestając na zwykłej doli niewieściej nie chce iść za mąż choć zdarza jej się porządna partya, musi być uosobieniem ducha buntu, posiada niezawodnie najgorsze skłonności, i prędzej czy później pogrąży w rozpaczy rodziców, krewnych i znajomych, że kobieta stworzoną jest do domowego ogniska i li tylko do domowego ogniska, jeśli zaś która go nie posiada tem gorzej dla niej, musi być albo niezręczna albo brzydka, co na jedno wychodzi, społeczeństwo przecież dla podobnych wyjątków szwankować nie może. Kobieta ani rozumem, ani zdolnościami, ani fizyczną siłą nie dorównywa mężczyźnie a zatem powinna mu być poddaną we wszystkiem, a gdyby mu nawet dorównywała to nie upoważnia jej do żadnej samodzielności albowiem byłoby to dla ogółu (naturalnie mężczyzn) niewygodnie i nieprzyjemnie. Świat miał zakreślone od wieków koleje którémi idzie, iść powinien i iść będzie wbrew burzycielom a szczególniej burzycielkom społecznego porządku.

Na takie *dictum acerbum* pani Anzelmowa nic nie odpowiedziała, jakkolwiek niejedna bieglejsza od niej w dyalektyce białogłowa, byłaby niezawodnie znalazła bardzo wiele do powiedzenia i mogłaby szczególniej zakwestyonować przedostatni argument małżonka w imię sprawiedliwości a ostatni w imię logiki dzisiejszej, która przeprowadziła w praktyce nieobliczoną ilość reform, dawniej uważanych także za niemożliwe i sprzeciwiające się odwiecznym prawom.

Krasomówstwo przecież pana Anzelma jakkolwiek w zdumienie wprawiało jego małżonkę, bynajmniej nie rozwiązało kwestyi jak mianowicie w obecnych okolicznościach postąpić należy. To też postawiła mu nieśmiało to zapytanie.

Ale jak wielu mężów z absorbowanych zagadnieniami tyczącemi się ogólnych losów ludzkości, pan Anzelm w obec praktycznych kwestyi, znalazł się nieprzygotowanym, kwestye te zbyt mało znaczyły dle niego, dla tego też zaczął wyrzekać na upór kobiet w ogóle a własnej żony, w szczególności które zawsze rządząc się swoją głową narobią sobie kłopotów.

Nawiasem mówiąc owe oskarżenie w niczem stosować się nie mogło do pani Anzelmowej, która odznaczała się tem właśnie iż była tylko wiernem echem swego małżonka. Pomimo to pan Anzelm nie wahał się twierdzić iż był zawsze z gruntu przeciwny odnajęciu pokoju Annie i przyjęcia jej do swego domu.

Zachodziła tu widać lekka zmyłka pamięci gdyż pan Anzelm zgodził się pierwszy na pomieszczenie u siebie kuzynki, rzecz wiadoma jednak, że mężom znakomitym, oddanym sprawom ogółu, trafiają się często podobne zapomnienia, nic więc dziwnego iż trafiło się ono panu Anzelmowi, żona też prostować go nie myślała, i z gołębią pokorą przyjmowała na siebie niespełnioną misyę.

Jednak z czyjego bądź powodu stał się fakt trzeba było coś postanowić i postanowienia tego czekała ona z ust małżonka. Tymczasem pan Anzelm zapędziwszy się w ogólne poglądy stracił na nie dużo czasu tak iż spojrzawszy na zegarek, przekonał się iż zwykła partya musiała już na niego od dawna oczekiwać w resursie. Rzucił więc tylko parę wyrazistych klątw, na kobiety, ich przewrotność, niezaradność, głupstwo; upór i t. p. wśród których to klątw zapomniał znowu powiedzieć, co czynić należało w obecnym wypadku i wyszedł trzaskając drzwiami.

Pani Anzelmowa więc w tych trudnych okolicznościach, pozostawioną była własnemu przemysłowi i uczyniła to co uczyniłaby większa część kobiet na jej miejscu. Skoro bowiem przekonała się że mąż jej wyszedł zwyczajem swoim na cały wieczór a zatem nikt kontrolować jej ani przeszkadzać nie będzie, jak burzliwy wicher wpadła do pokoju Anny.

I tutaj odbyła się jedna z tych scen, które opisywać byłoby zupełnie zbytecznie, wyrzuty nieoględne nie przystosowane do winy, musiały koniecznie wywołać dumny opór i wzgardę, które znów do ostateczności przywiodły starą kobietę, nazwała je zakamieniałością, bezwstydem, i zakończyła oświadczeniem, iż Anny w domu swoim trzymać nie może, a ponieważ nie chce mieć na sumieniu jej ostatecznej zguby, natychmiast napisze do rodziców ażeby przyjechali ją zabrać.

Groźba ta której przecież spodziewać się mogła, wywarła na biedną nieoględną dziewczynę, straszne wrażenie. Ujrzała w myśli dworek ojczysty, ojca, matkę, babkę, chwilę odjazdu, przeczuła wrażenie jakie list pani Anzelmowej miał uczynić i byłaby oddała połowę życia, ażeby ją powstrzymać, chciała nawet ugiąć się do prośby ale głos wymówił jej posłuszeństwa. Nie, niech się dzieje co chce, ona mogła się wytłomaczyć przed ukochanemi, tutaj tego uczynić nie była w stanie. Oskarżenie o tyle przenosiło błąd iż w obec niego czuła się niewinną i miała postawę niewinności obrażonej.

— Tak, napiszę, mówiła pani Anzelmowa, napiszę zaraz jutro, jestto obowiązek sumienia.

Gdyby Anna chciała się nawet bronić, te ostatnie słowa zamknęłyby jej usta, z obowiązkiem sumienia walczyć nie mogła, wiedziała że to co pani Anzelmowa nazywała tem imieniem spełni pomimo wszystkiego.

Nazajutrz jednak, z konieczności list zamierzony uległ radykalnej zmianie. Zamiast napisać: „przyjedźcie Anna się gubi”, napisała: „przyjedźcie Anna śmiertelnie chora”.

Rzeczywiści, Anna leżała w malignie.

Choroba jej była długą, czas jakiś wątpiono o jej życiu, a pan Anzelm, który nadewszystko lu-

bił spokój a teraz nie znajdował go wcale w domu, doradził żonie by nie zwiększała zamieszania i zmartwienia matki Anny, opowiadaniem powodów choroby. Po chorobie matka zabrała córkę na wieś gdyż potrzebowała długiego spoczynku zanimby przyszła do siebie, i odpowiedzialność sumienia pani Anzelmowej szczęśliwie z gry wycofaną została.

Anna jednak miała naturę upartą, z powrotem sił powracały jej dawne pragnienia. Warunki życia nie zmieniły się koło niej, dom rodzicielski nie był mniej ciasny, potrzeb w nim nie zmniejszyło się wcale, bezczynność była dla niej równie nieznośną. Słowem wszystkie racyonalne przyczyny które zmuszały odważną dziewczynę torować sobie drogę na świecie i nie być nikomu ciężarem, trwały w całej sile.

O panu Kalasantym, matka wspominać jej nie miała odwagi, bo najlżejsze podobne wspomnienie sprawiało jej niewypowiedzianą przykrość. Anna w cichości serca, czyniła sobie gorzkie wyrzuty za nieoględne postępowanie i postanawiała na przyszłość być stokroć ostrożniejszą.

Zresztą Anna nie lękała się pracy, i z niezmordowaną wytrwałością dążyła do celu jaki sobie wytknęła. Chorobę i to wszystko co ją poprzedziło uważała za przeszkodę chwili którą usunąwszy, znów chciała podążać swoim torem.

Skoro więc po kilku miesiącach, powróciła zupełnie do zdrowia, zaczęła znowu wybierać się na ukończenie nauki obranego przez siebie rzemiosła.

Spotkała teraz mniej trudności niż poprzednio. Rodzice nawykli już byli do tego, co nazywali jej dziwactwem, opłakali ją już niejako i uważali za straconą dla siebie, przeszli przez rózgi uwag złośliwych, szyderstw i domysłów okolicznych. To też gdy znowu o wyjeździe wspomniała, zamiast odradzań, łez, przestróg i gniewu, poprzestano na wstrząsaniu głową i przepowiedniach opłakanej przyszłości, zguby i t. p. któremi obficie opatrzona wyjechała powtórnie w świat szeroki.

Tym razem jednak Anna, nie próbowała powrócić pod dach państwa Anzelmów, ani do zakładu w którym rozpoczęła naukę rzemiosła. Wspomnienie Warszawy przejmowało ją przerażeniem, bała się zarówno jej ulic jak surowego oblicza starej krewnej, a nadewszystko lękała się znowu spotkać z tym nieznajomym, którego pamięć pozostawiła w jej myśli ślad wstydu i boleści.

Rzemiosło które sobie obrała nie było tak trudnem a jedno z miast prowincyonalnych posiadało zakład wychowawczy, w którym nauczyć go się mogła. Więcej obznajmiona z warunkami krajowemi odchyliwszy rożek zasłony, jaką dotąd swiat cały był dla niej zakryty, wiedziała o tem i tam się udała.

Marzenia Anny były skromne bardzo, nie wybiegały po za szczupły zakres pracy ręcznej, nie sięgały sfer abstrakcyi a tem mniej nie posuwały się do żadnych społecznych doktryn równouprawnienia. Pragnęła po prostu kosztem czasu swojego, wyrzeczeniem się rozrywek i przyjemności łatwego życia, wśród którego zwykle upływała młodość rówieśnic zostających w jej położeniu, okupić niezależność osobistą i wyzwolić się od konieczności wstrętnego małżeństwa.

Teraz po doświadczeniu które się dla niej tak smutnie skończyło, Anna w postępowaniu swojem była baczną bardzo, określiła sobie dokładniej własne położenie, zrozumiała że chcąc iść odrębnemi drogami niż ogół, trzeba wyrzec się praw i uczuć posługujących ogółowi. Gorzka nauka jaką odebrała nauczyła ją nie puszczać wodzy sercowym marzeniom, nie dowierzać pięknym słówkom, lękać się zawsze pod nimi podstępu i szczelniej niż dotąd zamykać się w sobie.

Była to rzecz ciężka dla tej bujnej, żywej, ufnej natury tak chętnie manifestującej się na zewnątrz, tak namiętnie rwącej się do świata. Musiała gwałt zadawać wszystkim swoim instynktom, stać się ostrożną, małomówną, powściągliwą w okazywaniu wrażeń.

Wreszcie po usilnej półrocznej pracy, dopięła swojego celu. Umiała skroić i odrobić rękawiczki według najwykwintniejszych wzorów, umiała sporządzać rozmaite przedmioty z miękkiej skóry i znała się na jej gatunku i wartości. Był to bardzo skromny rezultat, niemal heroicznych wysileń, ale był to pierwszy szczebel do niezależności. Zapotrzebowanie rękawiczek jest ogólne: w miastach prowincyonalnych zbywa nieraz na dobrym wyrobie, mogła więc nie oddalając się zbyt od rodziców, zamieszkać w jakiej miejscowości przedstawiającej konieczne ku temu warunki, założyć fabrykę i sklep i tym sposobem zyskać sobie bardzo skromne i pracowite ale niezależne stanowisko.

Tutaj jednak spotkała się po raz drugi z opozycyą rodziny. Opozycya ta mniej więcej formułowała się w następujący sposób. Że Anna uczyła się jakiegoś rzemiosła było to dziwactwo, szaleństwo, rzecz zupełnie śmieszna i bezsensowna, ale to dziwactwo, szaleństwo, śmieszność czy bezsensowność, ginęło w wielkiem mieście, zamknięte było w jakimś naukowo przemysłowym zakładzie. Przecież Anna mogła tak samo brać lekcye śpiewu, muzyki jak kroju rękawiczek. Gdy tymczasem zakładać fabrykę jakichbądź wyrobów, mieć sklep, to już stawało się rzeczą jawnie gorszącą.

Wprawdzie łudzimy się myślą że minęła już epoka kiedy miano sobie za ujmę zarabianie na chléb powszedni: powtarzają nam od niejakiego czasu moraliści na wszystkie tony, że praca uszlachetnia, że za jej pomocą jedynie można sobie wywalczyć godność człowieka, że ten kto jej nie szanuje jest pasożytem w społeczeństwie.

Anna w ten sposób odpowiadała ojcu, matce, babce, ciociom i stryjom a wreszcie siostrom i braciom, bo wszyscy bez wyjątku na nią powstali. Odpowiedź ta jednak nie przekonywała nikogo. Nawet brat technolog, który przyjechał na wakacye zamiast stanąć po jej stronie, śmiał się i nie chciał brać jej zamiaru na seryo.

Jest przecież praca i praca, mówiono jej w koło, wszakże wszyscy otaczający ją, rodzina, krewni, pasożytami nie są, wszakże ojciec jej chodząc koło roli i matka zajmująca się całem gospodarstwem myśląca o dobrobycie wszystkich zamieszkujących pod jej dachem, i siostra ucząca młodsze rodzeństwo, nie marnowali czasu swojego, wszakże pracowali każde na swoją rękę. Dlaczegoż wybierać koniecznie zawód, który zwraca wszystkich uwagę, dla czego rozrywać węzły rodzinne i osierocać dom ojcowski?

Na to możnaby znowu znaleźć tysiące racyonalnych odpowiedzi, Anna wyczerpawszy rozumowanie zapytywała wreszcie, czy w razie gdyby zdecydowała się pójść za pana Kalasantego, wymawianoby jej że osieroca dom ojcowski?

Rzecz naturalna iż nie uczynionoby tego, brzmiała choralna odpowiedź. Oh! gdyby ona szła za pana Kalasantego!!!

Trzeba przyznać iż młoda dziewczyna poruszając ten drażliwy przedmiot popełniła wielką nieroztropność i odnowiła srogi żal całej rodziny, która darować jej nie mogła odrzucenia podobnej partyi. Ale że wszystko ma swój koniec na świecie i żale rodzinne a przynajmniej ich objawy mieć go musiały, rozumowania i żale zarówno odbijały się o niepojęty upór Anny, która przetrwawszy tyle nie dała się poruszyć wymową otaczających i z płaczem całowała ręce rodziców prosząc, by nie przeszkadzali jej czynić tego co za dobre i szczęśliwe dla siebie uważa.

Stało się więc to, co już raz miało miejsce, przed wyjazdem Anny do Warszawy, matka chociaż niechętnie przechyliła się na jej stronę, ojciec jak zwykle w takich razach poszedł za przykładem matki, zmiękł i zaczął myśléć o możliwem zrealizowaniu planów Anny.

(d. c. n.)

FELIKS MENDELSOHN BARTHOLDY,

podług

K. Seldena.

Sposób pojmowania muzyki w Niemczech dobrze określają słowa proste i zarazem poważne, wyrzeczone przez Lutra: „Człowiek który śpiewa, mówi on, nie ma smutnego umysłu a troski nie zawisną nad jego domem.” Chcąc zrozumieć całą ważność muzyki w Niemczech, trzeba poznać rolę, jaką ona odgrywa w życiu domowem. W Niemczech rzadkie są wieczory muzykalne mające na celu popis, powszechnie zbierają się tam kółka rodzinne, w których brat i siostra są nauczycielami, zachęcając się wzajemnie na drodze pracy. Częstokroć tam to samo *andante* brzmi może o jednej godzinie na skromnym fortepianie w ustroniu wiejskiem i na pianinie zdobiącym buduar królewski. Słusznie też Niemcy otaczają czcią sztukę, która ich podnosi, pokrzepia, bo muzyka traktowana poważnie jako sztuka staje się źródłem najszlachetniejszych przyjemności, jednem węzłem więcej łączącym z sobą członków rodziny a zatem i kraju całego. Muzyka upięknia życie, kształci serce, gdyż poczucie piękna łączy się ściśle z tem wszystkiem, co jest szlachetnem i dobrem w człowieku.

Niejedna z Czytelniczek oddaje się zapewne z zamiłowaniem muzyce, na jej fortepianie spoczywają wspaniałe sonaty Bethowena, pełne prostoty i uczucia dzieła Mozarta, urocze mazurki Szopena; spodziewam się że w tem wyborowem towarzystwie znajdzie się także Mendelsohn, którego, utwory pełne delikatnego wdzięku i fantazyi, zrozumiane być powinny z łatwością przez młode osoby, lubiące na skrzydłach fantazyi wybiegać po za sferę rzeczywistości. Otóż właśnie chcemy pomówić o Mendelsohnie, który jako muzyk i człowiek wart jest bliższego poznania.

Feliks Mendelsohn Bartholdy, syn Abrahama urodził się w Hamburgu r. 1809. Z pomiędzy czworga dzieci, dwoje odznaczało się od najmłodszego wieku oryginalnością i głębokością geniuszu muzykalnego. Był to Feliks przyszły kompozytor i siostra jego Fanny, podobna mu talentem i umysłem. Feliks w dziewiątym roku życia zadziwiał przedwczesną dojrzałością swej gry i intelligencyą muzykalną. Chwile wolne przepędzał z Haendlem, Bachem wykonywając ich najzawilsze fugi. Jednego razu z wielkiem zadziwieniem nauczyciela,

który mu polecił odczytanie oratoryum Bacha, chłopiec zaczął wyszukiwać błędy harmonii i bawił się ich poprawianiem. Wśród dźwięku najliczniejszej orkiestry słyszał każdą fałszywą nutę. Te dowody zdolności muzykalnej mniej dziwią w kraju, gdzie każde dziecko uczy się prawie zasad harmonii; bo jeżeli w Niemczech przebaczają z łatwością uchybienia w zewnętrznej formie zato sąd jest nieubłagany braku gruntownego wykształcenia muzykalnego, które jednak nie kładzie nacisku na mechanizm zmieniający człowieka w maszynkę, ale polega na zrozumieniu myśli autora, na znajomości interwalów, akordów i umiejętności posługiwania się niemi.

Jednem ze szczęśliwszych warunków sprzyjających rozwinięciu się gieniuszu Mendelsohna jest bezwątpienia zamożność jego rodziny. Mendelsohn był bogatym, nie potrzebował zatem produkowań dla zysku, co zawsze szkodę przynosi sztuce. Ojciec Feliksa jakolwiek bogaty, cenił tylko majątek i sławę nabyte własną pracą, od której też nie uwalniał swego syna.

„Mój ojciec, pisze Feliks, życzy sobie abym się utrzymywał z własnej pracy chociaż mógłbym się obejść bez tego, gdyż nie chce abym przywykał do życia wolnego od wszelkiego trudu." W innem miejscu pisze znów Feliks: „E... jest sumiennym i użytecznym muzykiem, co jest ważnem, bo czegóż żądać więcej?

Rodzina Mendelsohnów porzuciwszy judaimz przyjęła religię protestancką, odznaczając się tradycyjnie prostotą obyczajów, patryarchalnością w życiu rodzinnem i lubownictwem nauk.

W takiej to atmosferze piękna, miłości i prostoty, wzrastał młody Feliks. Ukształcenie jego nie było jednostronne, nie ograniczało się jedynie na dziedzinie muzyki, jak to często ma miejsce u artystów lekceważących nauki, które nie mają bezpośredniego związku z ich zawodem.

Gieniusz muzykalny Mendelsohnów nie był u niego przypadkowym, odosobnionym darem, lecz dopełnieniem natury szczególnie bogatej, rozwijającej się harmonijnie z pomocą nauki równie gruntownej w innych gałęziach wiedzy. Młody artysta uczył się z zadziwiającą gorliwością matematyki, jednocześnie języków starożytnych i nowych. Antygona Sofoklesa natchnęła jego piękne chóry. Tłomaczenie Plauta zjednało mu pochwały Getego. Czytywał Danta, Szekspira w oryginale; uczęszczał na kursa w Berlinie, gdzie Hegel w apoteozie swej sławy rozpoczął wykład estetyki usiłując muzykę także ująć w prawidła swego systemu. Pomimo tylu zajęć, Mendelsohn znalazł czas na rysunek, malarstwo a w pływaniu i fechtunku nikt mu wyrównać nie mógł. Dla uzupełnienia tej sympatycznej postaci dodajemy, że forma zewnętrzna harmonizawała z jego duchem: piękność postaci Mendelsohna przypominała klasyczność rysów greckich, widocznie niczego nie poskąpiła natura swemu wybrańcowi. Z takim zasobem moralnym dochodził Mendelsohn młodzieńczego wieku, wtedy to zgodnie z życzeniem ojca odbył podróż aby poznać trochę świata, ludzi, inne zwyczaje, wyobrażenia. „Są jeszcze ludzie z tamtej strony góry" mówi saksońskie przysłowie, a więc trzeba przebyć ową górę abyśmy nie mierzyli świata tylko miarą naszego zakątka.

Oddalony od rodziny myśli ciągle o ojcu, o wszystkiem co może mu być miłem, lub co go niepokoi.

„Obawiam się, pisze on z Rzymu do sióstr i brata, czy nie uchybiacie czem w postępowaniu względem ojca, gdyż sam nieraz błądziłem brakiem słodyczy i uległości dla jego wyobrażeń. W listach ojca przebija się zły humor, cierpkość, czego dawniej nie było. Nie moglibyście zgłębiwszy przyczynę zaradzić złemu tysiącem drobnych starań, które tylko miłość dyktuje a są w mocy każdego. Unikajcie wszystkiego co go drażni, nie brońcie czego on nie lubi, nakoniec strzeżcie się pewnych sposobów wyrażania jakkolwiek niewinnych lecz mogących go drażnić. Mówię to z doświadczenia gdyż miałem takie zajście o Betowena. Ojciec nazywał go nieustannie nowatorem, romantykiem, taki sąd irytował mnie i traciłem często zimną krew. Ludzie w pewnym wieku obawiają się wszystkiego co spowoduje zmianę w ich pojęciach i wyobrażeniach, lecz w tym razie widziałem tylko niesłuszne uprzedzenie przeciw Betowenowi, ztąd nieporozumienia, gniewy. Jednak moja była w tem wina, czyż nie należało z mej strony ustąpić ojcu który tyle dla mnie zrobił, tem bardziej jeżeli to może utrzymać jego wesołość i dobry humor? Mówię do was jak weteran dojrzały mądrością nabytą wśród podróży, jeżeli nie możecie zrobić inaczej to obracajcie wszystko w żarty aby go uspokoić. Przebiegłem dużo świata, zaglądałem tu i owdzie w głąb życia rodzinnego, lecz nie spotkałem rodziny gdzieby jak u nas panowała taka jedność, taka wzajemna gotowość do poświęceń, ustępstw, pomimo różnicy charakterów, gustów i opinii.

Mendelsohn rozpoczął swą podróż od Wajmaru, gdzie przebywał Gete, którego odtąd stał się ulubieńcem i na jego żądanie przedłużył swój tamże pobyt. Wtedy to zapoznał Getego z muzyką klasyczną i zniweczył jego uprzedzenia przeciw Betowenowi.

„Gete otacza mnie uprzejmością i dobrocią, pisze w liście do rodziny. Przed obiadem grywam mu godzinę biorąc porządkiem kompozytorów jak następują, później daję pewien komentarz historyczny o każdym kompozytorze i stosunku jego do postępu sztuki. Słucha mnie poważny, milczący, surowy jak Jowisz rzucający w około pioruny swych spojrzeń, którego zmarszczenia brwi należy się obawiać. O Betowenie nie dał sobie mówić lecz zagrałem mu kawałek symfonii *c. minor*, był wzruszony chociaż nie chciał się zdradzić; wyrzekł tylko.

— Można podziwiać ale to nie przemawia do serca.

Po pewnym czasie powiedział:

— To wspaniałe! zdaje się że gmach ma runąć.

Podczas obiadu był zamyślony, nareszcie zaczął rozmowę o Betowenie, domyśliłem się że muzyka zrobiła na nim silne wrażenie. Codziennie z nim obiaduję, urosłem o sto łokci gdy Gete zapewniał że ma jeszcze wiele nauczyć się ode mnie, odpowiedziałem że takiego zaczytu nie zapomnę nigdy.

Mendelsohn dzieli się widocznie każdem silniejszem wrażeniem z rodziną za pośrednictwem listów, to też przytaczamy następujący opis jako doskonałą illustracyą malującą znaczenie muzyki w towarzyskiem życiu niemieckiem.

Sceną jest las podczas letniego wieczoru o kilka mil od Frankfurtu, ale pozwólmy najlepiej mówić samemu Mendelsohnowi.

„Punktem zbornym było wnętrze lasu. Wyobraźcie sobie rotundę służącą za salę balową, w której miejsce podłogi zastępowała trawa a zamiast sufitu konary drzew wsparte na pniach wiekowych i gęstych kolumnach drzew, wśród których gubiło się oko w sklepieniach zieloności i w głębiach cieniów. Tak wyglądała nasza sala koncertowa a główną drogą do niej prowadzącą była ścieżka, na której co chwila zatrzymywały śpieszących zarośla, krzaki, za któremi w oddaleniu można było widzieć przesuwające się powiewne postacie, słyszeć przymglony szmer białych sukienek panieńskich rozpierzchniętych po trawie albo kołyszących się w półcieniu pomiędzy festonami kwiatów. Jakże wypowiedzieć nieopisany urok muzyki w podobnem miejscu, jakże opisać perlisty dźwięk trylów, przezroczystą czystość tych młodych głosów, zlewających się w czarujących akordach pełnych słodyczy i miękkości. Około dwudziestu osób posiadających piękne, rozległe głosy, należało do naszego koncertu wokalnego. Wczorajsza próba nie była zupełnie zadawalniającą, ale dziś co innego. Trzeba było słyszeć ten śpiew rozchodzący się po rosie przy zachodzie słońca i przy akompaniamencie leciuchnego szmeru powietrza. Był to rzeczywiście prześliczny obraz! Zarumienione śmiejące się twarze, powiewne jak obłoczki sukienki, młody dyrektor chóru, a w pobliżu u stóp drzew w mchu siedzące grupy osób zaproszonych. Co za zapał, co za niezmordowana gorliwość! Nietylko cały zeszyt „Pieśni" odśpiewano ale nawet powtarzano od początku do końca: Ostatni „Śpiew skowronka" który unosił się w powietrzu podobny do wyskoku wesołości albo śpiewu tryumfalnego.

Wszędzie gdziekolwiek pojawił się Mendelsohn zagranicą zapraszany był do najpierwszych salonów, wprawdzie posiadał on talizmany torujące mu wszędzie drogę: bogactwo, dobre urodzenie i talent, jednak pochwały, hołdy nie zdołały go obałamucić, umiał zachować bezstronność sądu i odróżnić prawdziwych przyjaciół.

Mendelsohn ukazał się ostatni w aureopagu mistrzów niemieckich, na czele których jaśnieje Betowen, zrozumiał też swoje stanowisko, wiedział że niewolno mu życia marnować oddając je jedynie przyjemnościom, które nasuwało mu bogactwo, stawiające zasadzki tem niebezpieczniejsze że ich nie unikamy. Bezwątpienia heroizmem można nazwać znoszenie ubóstwa z pogodnem czołem, lecz równie godną pochwały jest umiejętność zapanowania nad sobą wśród blasku sławy, bogactwa i poświęcenie życia surowemu obowiązkowi.

Podczas pobytu w Rzymie ukończył Mendelsohn uwerturę z Hebrydów, z której wieje duch południa pomimo tytułu szkockiego. Wtedy to napisał kilka najpiękniejszych „Pieśni" i trzy Psalmy, których myśl natchnęła mu następująca okoliczność.

„Wieczorem gdy dzwonią na Anioł Pański, pisze on, wstępuję zawsze do Trinto di Monti, śpiewają tam zazwyczaj mniszki francuzkie. Bóg świadkiem że staje się coraz więcej wyrozumiałym i słucham ze skupieniem ducha najlichszej muzyki. Lecz pieśni które śpiewają są tak nieudatne że mimowoli śmiech obudzają, a organista według zwyczaju włoskiego jeszcze śmiejszniejszy się staje. Ale dzień na schyłku, zmierzch wkrada się nieznacznie wewnątrz nawy, gdzie postacie klęczących kobiet zanoszą modły otoczone blaskiem promieni zachodzącego słońca. Przytem dwie zakonice posiadają niewypowiedzianie miłe i sympatyczne głosy, niemożebność zobaczenia ich podnosi jeszcze urok chwili. To też zawdzięczam im bardzo miłe wrażenia, a chcąc się wywzajemnić postanowiłem ułożyć śpiew stosowny do ich głosu. Spodziewam się że moja praca będzie przyjętą, a ja doznam miłego uczucia słysząc mój utwór śpiewany jako hymn błagalny do Madonny przez te kobiety nieznane.

Mendelsohn był nieprzyjacielem muzyki włoskiej odmawiając jej nawet miana sztuki, robił tylko wyjątek dla muzyki religijnej, której świetne rozwinięcie łączyło się z imieniem Allegra, Marcella,

Palestryny i Pergeloza. Według niego muzyka włoska jest tłomaczem namiętności ludzkich, gdyż Włochy nowoczesne ani pogańskie, ani chrześciańskie, bez bożków a nie czcące Boga, nie mogły wydać dobrej szkoły muzyków. Natura jest tu zbyt piękną, hojną. W Szwajcaryi krajobrazy są tak wspaniałe że brakuje pejzażystów. Według Mendelsohna muzyka jest wyższą nad język, jak krajobraz wychodzący z pod ręki malarza wyższy jest nad rzeczywistość, jak fantazya przewyższa prawdę.

Fantazya nie może rozwinąć się tam gdzie piękna natura nastręcza się człowiekowi. Nie można spodziewać się wielkiej inteligencyi muzykalnej w kraju, gdzie smutek nieznany. Smutek marzący jest dziecięciem mgły północnej; tam człowiek skupia się w sobie, tęsknota wiedzie go ku nieznanemu, nasuwa najfantastyczniejsze pomysły, uczy go wzruszających dźwięków aby na skrzydłach sztuki mógł się wznieść ku *temu* czego *tu* otrzymać nie może.

W r. 1835 Mendelsohn udał się jako dyrektor muzyki do Lipska, gdzie go wezwano na kierującego koncertami w Gawandhauzie. W r. 1841 został powołany na dyrektora muzyki kościelnej w Berlinie. Podobnie jak Betowen najznakomitsze swe utwory pisał na orkiestrę. Muzyka symfoniczna, wielogłosowa odpowiadała najwięcej jego uzdolnieniu. To też najważniejszemi utworami Mendelsohna są symfonje, włoska i angielska, uwertury: Ruy Blas, Cisza morska, Szczęśliwa podróż Hebrydy; oratoryum: Paulus, Eljasz, muzyka do *Snu nocy letniej* Szekspira, Antygony i Attalii. Z fortepianowych kompozycyj zaś prześliczna *Lieder ohne Worte*, *Rondo capricioso* i liczne piękne utwory. Na skrzypce napisał prócz wielu kwartetów sławny koncert.

Mendelsohn posiadał wielki talent i wielki charakter, co w połączeniu tworzyło doskonałą całość. Umysł jego był wolny od wszelkich małostek, od tej pospolitej zazdrości, która szpeci nieraz największe talenta; a nawet chęć rywalizowania była dla niego uczuciem nieznanem. Cześć jaką on sztukę otaczał miała w sobie coś z uczucia religijnego.

Była to wyjątkowo szlachetna w każdym stosunku osobistość, uderzająca każdego kto się do niego zbliżył prawdziwą wielkością ducha wszechstronnie rozwiniętego. Uzupełnienie szczęścia znalazł w związku małżeńskim z osobą równą mu umysłem i sercem, która niejako przez los była mu przeznaczona, nosiła imię Cecylii patronki muzyki. Lecz szczęście nie jest trwałe na tym świecie. Kiedy Mendelsohn wracając z Anglii zatrzymał się we Frankfurcie doszła go wiadomość że siostra jego umarła w Berlinie. Był to cios wielki dla Mendelsohna, tracił ukochaną siostrę z którą prócz węzłów serca łączyło go wielkie pokrewieństwo duchowe.

Cierpienie spowodowane tą stratą podkopało zupełnie zdrowie Mendelsohna, umarł w sześć miesięcy potem r. 1847 na zapalenie mózgu. Ciało jego przewieziono do grobu familijnego w Berlinie.

A. Chlebowska.

PRZEGLĄD LITERACKI.

J. I. Kraszewski—Powieści historyczne XI. Pogrobek powieść historyczna z czasów Przemysławowskich. Kraków 1880. 2 tomy.

Opowieść rozpoczyna się na dworze Bolesława Pobożnego w Kaliszu. Dzielny na wojnie, łagodny, skromny i bogobojny ten książę, spółczesny Leszka Białego i Bolesława Wstydliwego, mało był podobnym do reszty burzliwych i po większej części rozrzutnych, dobremi obyczajami nieodznaczających się Piastowiczów. Żoną Bolesława była Jolanta siostra Kingi—jedna z owego świętobliwego grona, do którego też należała społeczna św. Salomea—i pobożna para w Kaliszu, podobnie niemal jak w Krakowie Pudyk z Kingą, prowadziła życie klasztorne. Wychowankiem Bolesława i przyszłym jego spadkobiercą był młodociany Przemko czyli Przemysław, Pogrobek to jest Pogrobowiec, urodzony już po śmierci swego ojca Przemysława I syna Odoniczowego, książęcia Wielkiej Polski na Poznaniu i Gnieźnie. Młodzieniec był podobny do stryja: widzimy go butnym, strojnym, gorącym, już w pierwszej młodości ambitnym, gwałtownym i zapalonym wielbicielem nietylko rzemiosła rycerskiego, ale i płci pięknej, czyli „podwiki" jak dawniej mawiano. Widzimy go więc jak rwie się do boju z Niemcami, plądrującemi pograniczne zamki polskie i w pierwszej swej wyprawie odbywa nietylko chrzest rycerski, ale i miłosny, pod urokiem zdobytej branki niemieckiej Minny. Młodzieniec chowa piękną brankę u siebie na zamku i ukrywa się troskliwie z tym przedwczesnym stosunkiem, ale stryj wkrótce domyśla się prawdy. Nie w smak to poszło Bolesławowi i ażeby synowca od tych miłostek oderwać, postanawia ożenić go z Lukierdą, wnuczką Barwina, księcia pomorskiego. Przemysław obojętnie daje się powodować i udaje się ze stryjem w orszaku świetnym do Szczecina, stolicy Barwina. Stary ten książę już zniemczał, ale wnuczkę chował starym obyczajem słowiańskim. Dziwnie bo też wątłą i trwożliwą była złotowłosa Lukierda (inaczej przez kronikarzy i poetów naszych Ludgardą zwana). Trwoga napełniła jej serce na widok oblubieńca; w czasie swego wesela we łzach tonęła, jakby przeczuwając przyszłość smutną, a za zbliżeniem się Przemysława mdlała.

Powleczono ją jednak, jako ofiarę polityki, bo już i wówczas małżeństwa książęce były więcej wynikiem rachuby politycznej niż skłonności serca: ambitny Przemysław już wtedy marzył o wielkich rzeczach i uśmiechało mu się przyłączenie Pomorza do swej dziedziny wielkopolskiej i do księstwa kaliskiego, które miał wziąć po Bolesławie Pobożnym. Minny pozbyć się nie myślał i ją tylko jedną kochać i nadal obiecywał; miłośnica zaś odgrażała się, że mu żonę udusi lub otruje...

Po barwnym opisie uczt weselnych mamy opis uroczystego wjazdu młodej pary do Poznania. Smutno i tęskno poczyna się miesiąc miodowy. Przemysław do żony nie zajrzy, bo go Minna nie puszcza, a samotna Lukierda, już na wstępie opadnięta przez zuchwałą czeredę obcych sobie służebnic, ze złośliwą Niemką Bertą na czele. Męczeńskie dzieje nieszczęśliwej Ludgardy poczynają się od drobnych udręczeń i szykan ze strony tej służby, która stawała się coraz zuchwalszą i za milczącem zezwoleniem Przemysława, coraz to okrutniej pastwiła się nad swoją panią.

Jedyną pociechę miała księżna w starej swej piastunce, imieniem Orcha, lecz prześladowcy oderwali od niej i tę jedyną przyjaciółkę. Wszyscy obojętnie patrzali na los księżnej, którą wreszcie poczęła dręczyć i Mina, już nie ukrywająca się wcale i wciskająca się nawet do zastępu sług Ludgardy.

Jeden tylko rycerz Michno Zaręba czuje litość dla nieszczęśliwej i ufny w to że był od lat najmłodszych towarzyszem i przyjacielem Przemysława, usiłuje doprowadzić księcia do upamiętania, ale bezskutecznie. Odepchnięty pogardliwie i gniewnie, został nadto posądzony (zwykła to kolej rzeczy) o czulsze względem nieszczęśliwej księżnej uczucia. Pozostał tylko jako bezsilny rycerz Ludgardy, jako niemy świadek jej losów.

W te smutne dzieje domowe autor, jak zawsze zręcznie wplata nić wypadków dziejowych. Przemysławowi roi się już o większej niż drobnego książątka władzy: objął już po śmierci stryja księstwo kaliskie i marzy o koronie królewskiej. Raz gdy mu na uczcie przepowiadał takową uczony i dzielny rycerz Jakub Świnka, rzekł książę szydersko: „a no, dobrze! Ino wy zostańcie arcybiskupem, ażebyście mię ukoronowali." Żartobliwe te wyrazy miały później urzeczywistnić się najzupełniej...

Tymczasem wynikła jedna z pospolitych między ówczesnemi książątkami waśni. Bolesław Rogatka, książę lignicki, uwięził swego krewnego, Henryka wrocławskiego; tego pomścić i oswobodzić pośpieszyli inni książęta, w tej liczbie i Przemysław, ale zostali zwyciężeni i uwięzieni przez Rogatkę. Mina, odważna i przebiegła, pośpieszyła do Lignicy, trafiła do księcia, ustawicznie bawiącego ze swoją Sońką, puharem i historycznym gęślarzem i tu, pozyskawszy pożyczkę u lichwiarzy, wykupiła swego pana. Tym sposobem wyrządzona przysługa zacieśniła węzeł pomiędzy Przemysławem i jego kochanką, na szkodę i na zgubę Ludgardzie.

Po wyjściu z niewoli, Przemysław coraz to bardziej marzył o większej władzy i o koronie, a pragnąc mieć pomocnika w swych zamysłach, wyprawił do papieża posłem księdza Wincentego z prośbą o obsadzenie stolicy arcybiskupiej gnieźnieńskiej, która wówczas wakowała.

Los księżnej coraz się pogorszał i wreszcie jedyny jej obrońca Zaręba został gniewnie przez księcia wypędzony i opuścił dwór z pogróżką zemsty za nieszczęścia Lukierdy. „Pamiętaj książę — rzekł na pożegnanie do Przemysława—że jeśli dasz ją zabić, to i sam takąż śmiercią zginiesz."

Razem z Zarębą opuścił dwór książęcy i przyjaciel jego Nałęcz; oba poszli w świat szukać przytułku i stronników, knując plany zemsty przeciwko księciu. Po drodze odwiedzają osobliwszy dwór pokutniczy, niby klasztor starego Włodka, który ze swą czeladką pędził odludne i pokutnicze życie w postach i modlitwie.

Tymczasem ks. Wincenty, wysłany przez Przemysława do Rzymu, nie miał już potrzeby odbywać swej podróży. gdyż, dziwnym wypadkiem, spotkał się w drodze z rozwiązaniem celu swego poselstwa: zszedł się bowiem z orszakiem Jakuba Świnki, który wracał z Rzymu jako arcybiskup gnieźnieński, mianowany przez papieża, dawnego swego kolegę.

Jednocześnie spełnia się zbrodnia na Lukierdzie kładąca kres jej cierpieniom.

Dręczona i zbolała księżna, wskutek cierpień prawie obłąkana, zbrzydła mężowi tak że wyraził nieopatrznie chęć pozbycia się żony. Podobnie

trafiało się nieraz w dziejach takich zbrodni. Mina i służebne podchwyciły te słowa księcia i wkrótce udusiły nieszczęśliwą—tę scenę maluje autor z całą grozą i szczegółowo. Po spełnieniu zbrodni, Przemysław poczuł zgryzotę sumienia i wyparł się udziału; główna winowajczyni Minna musiała uciekać i zniknęła bez śladu.

Pomimo wyparcia się Przemysława, pomimo częściowego rozgrzeszenia ze strony nowego arcybiskupa, głos publiczny przypisywał księciu tę zbrodnię. Zaręba z Nałęczem gotowali zemstę: namawiali Henryka wrocławskiego do wojny z Przemysławem i wydali mu zdradą zamek kaliski.

Pozbywszy się Lukierdy, Przemysław sprowadził sobie drugą żonę ze Szwecyi — Ryksę córkę Waldemara. Autor czyni ją z powierzchowności zupełnie podobną do zamordowanej Lukierdy. Ale z usposobienia była całkiem odmienną: nie była to już trwożliwa i płaczliwa, bez skargi biernie cierpieć mogąca niewiasta, ale śmiała i energiczna, pojmująca swoje stanowisko żony i księżnej i nie łatwo dająca się poniewierać. Dowiedziawszy się z nuconych tu i owdzie pieśni i od jednego z więźniów o losie Lukierdy, Ryksa wręcz zapowiedziała mężowi że jej podobny los nie spotka i wkrótce nawet zupełnie podbiła pod swą władzę Przemysława.

Nakoniec Przemysław dopiął celu swych życzeń i 26 czerwca 1295 r. został przez Jakuba Świnkę na królestwo ukoronowany. Jedyna to zasługa, jedyny w historyi zapisany czyn Przemysława Pogrobowca. Podjął on zaniedbaną koronę Chrobrego i przywrócił majestat królewski, od lat przeszło 200, bo od Bolesława Szczodrego, od zabójstwa św. Stanisława w Polsce nieznany. Od tej chwili już znowu występują w dziejach królowie polscy, z wielkiem niezadowolnieniem książątek udzielnych, którzy w przywróconej królewskości nie bezzasadnie widzieli groźbę dla swych działów, zapowiedź silnej władzy i połączenia w jedno rozszarpanych części kraju.

Niedługo jednak bo tylko 8 miesięcy, cieszył się nowy król godnością. Krew Lukierdy spadła na niego, a mściciele—Nałęcze i Zarębowie—czyhali na jego życie, spiknąwszy się w tym celu z wrogiemi zawsze Polsce sąsiadami — margrabiami Brandeburga. Na zapusty 1296 roku wyjechał Przemysław do Rogoźna. Powieść kończy się opowiadaniem przybyłego ztamtąd do Poznania gońca o tem jak Niemcy napadli Przemysława, jak Nałęcze i Zarębowie własnoręcznie zadawali mu ciosy śmiertelne. Tak pomszczoną została Lukierda.

Podanie kronikarskie utrzymuje że za ten udział w zabójstwie króla, rody Nałęczów i Zarębów na długo były pozbawione wyższych godności, ale, jak to wyraża autor w przypisku przy końcu dzieła wiadomość to niecałkiem prawdziwa, gdyż wkrótce, potem, za Łokietka, Kazimierza i Ludwika, widzimy członków tych rodzin na najwyższych urzędach i dostojeństwach.

Taką jest treść tego utworu, osnutego na dziejach Ludgardy i Przemysława.

Tragiczny los nieszczęśliwej księżnej żył długo w pamięci ludu: powtarzano z pokolenia w pokolenie, jak świadczy Długosz, pieśni, w których Ludgarda błaga srogiego małżonka, ażeby ją puścił do domu, choćby w jednej koszulce.

Smutne te dzieje wybornie nadają się do tragedyi; korzystali też z tego przedmiotu poeci, pomiędzy którymi jenerał Ludwik Kropiński odznaczył się najbardziej niepozbawioną zalet tragedyą Ludgarda, która, chociaż dziś zapomniana, na początku bieżącego stulecia używała pewnej wziętości.

Większość zawartych w powieści wypadków jest historyczna. Co się tyczy pojedynczych charakterów, w ich skreśleniu mało już widzimy oryginalności: wszystkie postacie przypominają znane już nam dobrze wizerunki z poprzednich dziesięciu utworów przedsięwziętego przez czcigodnego jubilata cyklu historycznych powieści. Zdaje się istotnie, jak gdyby Kraszewski już przedtem zupełnie wyczerpał wszystkie postacie z epoki książąt Piastowiczów i teraz w każdym nowym utworze znajdujemy, chociaż pod innemi imionami, te same typy książąt, biskupów, rycerzy, faworytów i faworytek, poczynając od okrutnego skutkiem chwiejności charakteru księcia do Niemki Minny, która, jak zwykle ludzie z tego narodu w poprzednich powieściach, tak i tutaj jest demonem i źródłem złego.

Układ powieści dość prosty, bez przesadnej kunsztowności, w ogóle udatny, chociaż nie wszędzie jednakowo zajmujący. Zawsze to powieść dobra, bo powieść Kraszewskiego i zasługuje na polecenie, jako odświeżająca w sposób popularny i udramatyzowany zamierzchłe wypadki dziejowe. Wszelako „Pogrobek” nie należy do najcelniejszych utworów cyklu i nie może być porównanym do takich np. mistrzowskich utworów jak Stara Baśń lub Bracia Zmartwychwstańcy; mniemam nawet że niniejsza powieść stoi niżej od Historyi o Petrku Właście i od Stacha z Konar. Z powodu wyczerpania kolorytu i typów epoki piastowskiej, możnaby doradzić autorowi, ażeby już zaniechał odwzorowywania niemal każdego panowania owej epoki i przeniósł się raczej w czasy późniejsze, jagiellońskie, o kolorycie nieco odmiennym i o typach przez odmienne warunki urobionych.

W opracowaniu powieści mniej widzimy pośpiechu niż w niektórych poprzedzających; styl także i język są staranniejsze a mniej pogoni za wątpliwemi archaizmami w wyrazach; zresztą pod tym ostatnim względem znajdujemy tu jeszcze usterki w formach tak mało polskich jak np. Łoktek, Łoktka, Pawłka i t. p.

S.

Cuda przemysłu czyli opisanie ważniejszych wytworów tegoczesnego przemysłu i t. d. Drzeworyty objaśniające w tekscie. Warszawa, 1880 r.

Wcale nie widzimy przesady w tytule tej książki iż nazywa cudami wyniki usiłowań tegoczesnego przemysłu, jakoż istotnie, w porównaniu z tem czem był przemysł, już nie mówimy w ubiegłym stuleciu, lecz przed kilkunastu laty, przyznać musimy, iż cudowny uczynił postęp. A cudu tego dokonała nauka... mianowicie też chemii, która w przyszłości jeszcze więcej nam obiecuje.

Jeśli więc przemysł, i co do ilości, i co do jakości swoich wytworów, w całej zachodniej i środkowej Europie, rozwinął się tak szeroko, i my nie pozostaliśmy na szarym końcu, lecz według sił i możności postępowaliśmy naprzód; liczne i tak różnorodne fabryki z każdym dniem powstające najlepszym są tego dowodem.

Prawda że to się dzieje za sprawą wyzyskujących nas cudzoziemców, lecz i krajowe kapitały i zdolności zaczynają tu niemały brać udział.

Zacytowana w nagłówku książka pod tym względem jest pożyteczną, iż rozpowszechnia najświeższe wiadomości dotyczące fabrykacyi rzeczy w powszechnem będących użyciu, jak to: szkła, fajansu, porcelany, siarki, kwasu siarczanego, sody, potażu, szuwaksu, różnych lakierów, cementu, atramentu, mydeł, mianowicie toaletowych tak u nas przepłacanych. wreszcie zapałek. Starannie i umiejętnie zebrane tu wiadomości mogą zainteresować nietylko specyalistów, wielu nieznanemi im szczegółami, lecz ogół czytelników. Treściwie przedstawiony przebieg, jaki uczynił odnośny przemysł, daje czytelnikowi wyobrażenie, co dotąd dokonano, i czego możemy się jeszcze spodziewać; nadto niespecyalistom książka ta pozwala ocenić należycie wartość, przymioty i wady danego wytworu. Wiele z nich konsumujemy spokojnie, mało się troszcząc, jak wielki opłacamy haracz zagranicy za to, co możemy mieć lepsze i tańsze u siebie. A chociaż długo nam śpiewano, iż jesteśmy jedynie krajem rolniczym, to przecież przyszliśmy do przekonania, że bez swojego, naturalnie odpowiedniego warunkom miejscowym, przemysłu, będziemy zawsze na obcej łasce, będziemy zależni od kursu waluty zagranicznej, od ceł dowolnie przez sąsiadów nakładanych i od przeróżnych giełdowo-handlowych spekulacyi mających zawsze na celu wyzyskanie naszego położenia. Gdy zasada wolnego handlu, poszła dziś w zapomnienie, trzeba mieć prawie wszystko swoje aby pod ekonomicznym względem nie być narażonym na niechybną stratę. Publikacye tego rodzaju, jak „Cuda przemysłu”, otwierają nam oczy, i przekonywają, że niejeden artykuł przemysłu u siebie z korzyścią produkować możemy, na czem rolnictwo nietylko nic nie traci, lecz zyskuje owszem, jak tego samo doświadczenie nauczyło.

J. P.

KORESPONDENCYA
Z WŁOCŁAWKA.

Gdy mi o Włocławku pisać przychodzi, zwracam się wirem postępu gnana, do owego ogniska do którego gromadziły się rodaczki moje, z poczciwą chęcią wywalczenia dobrobytu na drodze uczciwej pracy. Ogniskiem owem rzucającem światło i ciepło na los rodzin a więc na przyszłość kraju, były szkoły rękodzielnicze, powstające w różnych stronach, począwszy od starego naszego grodu... Warszawy. Do najpierwszych domów połączonej pracy kobiet należał ten któremu kamień fundamentalny położyła pani Agnieszka z Wilczewskich, r. 1873 w miesiącu listopadzie w mieście Włocławku.

Rok ten stanowi świetną złotą epokę pracy kobiet! Nie jednostki a masy podały sobie dłonie i stanęły pod sztandarem owej chlebodawczej pracy, by na glebie ojczystej stworzyć równouprawnienie mozołu, trudu, walki, jednem słowem zgotować dla współczesnych i przyszłych pokoleń, umiejętność i sposobność zarobkowania przy warsztatach i maszynach.

Sale pracowni włocławskiej wrzały życiem wzniosłej idei w czyn zamienionej. Dziewice, mężatki i wdowy, nie przerażały się widokiem ostrych narzędzi introligatorskich, dratwy i szydła szewckiego, a kwiaty i koronki, dzieło smaku i cierpliwości niewieściej, zawstydzały wyroby germańskich fabrykantów.

Pióro mi z ręki wypada, gdy napisać muszę, że święty ten zapał był tylko gorączką pracy, owej czarodziejki co nam i naszym otworzyć miała bramę do wytchnienia po boju z walką, o kęs chleba, na niwie ogólnego dobrobytu.

Pytam was więc córy jednej matki bo wspólnej ziemi wychowanki, gdzie się podział wasz zapał

szlachetny, wasze dążności dla dźwigni społecznej, co zagłuszyło zacne hasło, praca! Co was wstrzymało w połowie drogi, do tak pięknego celu, kto wam powiedział: wracajcie nazad! nie podążajcie naprzód!...

Lecz o złe chęci jeszcze posądzać was nie chcę a rządząc się prawdą, powiem że pracownią niewprawna sterowała ręka, a najlepsze lecz nie dające się zrealizować chęci, narzucanie przekonań nie odpowiednich wiekowi a nawet materyalnej naturze człowieka, mogły was może na wstępie do nowego życia zniechęcić? Nie myślę w zbyt subtelne wdawać się sentencye, powiem tylko że do każdego celu co ma być gwiazdą żywota, nie po kwiatach się dochodzi...

Wytrwałości! siostry jednej ziemi, nie żegnajmy się z dobrą chęcią naszą, nie czyńmy rozbratu z pracą, rzucajmy jędrne ziarno na smutną glebę dla nas, dla ludzkości, dla bliźnich, dla dzieci naszych... by nie byli zapaśnikami jak my, na krwawej arenie trudu i upokorzenia!...

W pracowni Włocławskiej przełożona pani Marya Magdalena Chyczewska, wywiązuje się z całem poczuciem i sumienną godnością z pięknego zadania swego. Nie chęć zysku, postawiła zacną tę kobietę u steru pracy, ale serdeczna chęć utrzymania was na rozpoczętej drodze i pragnienie wyswobodzenia z żelaznej konieczności szukania bytu za pomocą związków matrymonialnych. Idźmy naprzód! nie cofajmy się! pracujmy z hartem niezłomnym, niech nas obcy nie posądzają o gorączkę, lekkomyślność o życie na dziś i dążności bez jutra, a staniemy u mety i powiemy sobie żeśmy żyli nie dla siebie a dla przyszłości. Pracownia otwarta w alei przy kolei, wzywa i czeka was.

Paulina Biernacka.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Na wyborach deputatów w Wilnie do rozkładu akcyzy, jaka ma być płaconą na korzyść miasta od utrzymujących sklepy z wiktuałami i domy zajezdne, wybrane zostały dwie miejscowe obywatelki, pp. Adela Nowicka i Teofila Bernatowicz; rada miejska potwierdziła wybór jako nie sprzeciwiający się prawom obowiązującym. Jest to pierwszy krok na drodze równouprawnienia kobiet — i jak w tym razie nie można uważać go niestosownym, gdyż panie te zapewnie muszą być kompetentne w tym przedmiocie, a więc będą mogły odpowiedzieć swemu zadaniu.

+ Kalisz uprzedził Warszawę i niezadługo już posiadać będzie Towarzystwo opieki nad biednymi uczniami średnich zakładów naukowych, powstałe za inicyatywą miejscowego gubernatora. Ustawa opracowana przez prezydenta miasta, p. Kozłowskiego, została przedstawioną władzy do zatwierdzenia.

+ Z Drozdowa, pod Łomżą, donoszą do Kur. Codziennego.

Dnia 27 stycznia, przy zupełnie pogodnem niebie i przy 16 stopniowym mrozie, zaraz po wschodzie słońca, zajaśniały trzy świetlane słupy; jeden jasno żółty przechodzący przez słońce, dwa inne, w kolorach żółtym i czerwonym, zlewających się tęczowo, w odległości około 20° od słońca. Słup środkowy tak przyćmiewał słońce, że z łatwością można było na niego patrzéć; boczne chwilami bardzo jasne, z podniesionym kolorem czerwonym, przechodzącym aż w fioletowy, to słabszem, to znów mocniejszem błyszczały światłem. Słupy te wznosiły się nieco wyżej iak słońce, i nietylko dochodziły do horyzontu, ale znać było jeszcze to światło w przedłużeniu się ziemi, przyczem cała wschodnia część nieba czerwono była oświetlona. Zjawisko to trwało do 9 godziny, minut 20 i znikło nagle.

+ Dzienniki zagraniczne donoszą o niepamiętnej zimie oraz burzach i zawiejach śnieżnych, jakie nawiedziły Europę.

W Paryżu w końcu p. m. panowały szalone zawieruchy śnieżne. Dnia 18 około 11-ej wieczorem zerwała się straszna burza, zarzucając miasto tumanami śniegu, bardzo ostrego, kolącego twarze jak szpilkami. Osoby które burza spotkała na ulicach daleko od mieszkań, w nader przykrem były położeniu. Omnibusy i fiakry z początku chciały kursować za bardzo wysoką opłatą, ale nie mogąc oprzéć się potędze wichru, musiały zaprzestać jazdy. Nazajutrz na ulicach znaleziono przeszło 200 niezaprzężonych wozów, z połamanemi osiami i dyszlami, porzuconych przez woźniców dla uratowania koni. Mieszkańcy Passy, Grenelle, St. Mandé i innych poblizkich miejscowości, zaskoczeni burzą musieli nocować w hotelach.

Takaż sama zawieja szalała w okolicach Paryża; wozy grzęzły w śniegu, niepodobna było dostać się do kolei; na całych zachodnich i południowych wybrzeżach Francyi, wiatry dęły z tak niesłychaną siłą iż przerażona ludność sądziła że to chyba koniec świata. Szkody spowodowane temi burzami są ogromne. W Amiens śnieg dochodził do 35 centymetrów grubości; w wielu miejscach kolej nie mogła chodzić; pociąg idący z Bathume do Lille, został przez wicher zepchnięty z szyn. Wiele okrętów zaskoczonych uraganem, nie mogło przybić do brzegu i rozbiły się o podwodne skały. Ale i bez ofiar w ludziach się nie obeszło; zaskoczeni na gołych polach, zostawali zasypani śniegiem; w okolicach Bordeaux 13 majtków zatonęło. W Marsylii bałwany zalewały ulice; 50 łodzi zostało roztrzaskanych. Podobnej burzy we Francyi najstarsi ludzie nie pamiętają — ci co ją widzieli, pewnie jej do końca życia nie zapomną.

I z Anglii równie przerażające wieści donoszą do gazet wiedeńskich. Przez 40 godzin w całym kraju śnieg padał nieustanie, przytem wicher szalał ogromny. Gdy padać przestało nastał wielki mróz, strumienie, kanały, jeziora, pokryły się lodem. Dnia 21 z. m. nawet Tamiza groziła zamarznięciem; już 20 niepodobna było żeglować po niej. Dnia 18 na ulicach Londynu ustał wszelki ruch, tak powozowy jak pieszy. Powozy, omnibusy, wozy, stały na ulicach bez koni, zasypane śniegiem. Tylko na kolejach podziemnych kommunikacya nie została przerwaną. Nazajutrz kilka milionów ludności pozbawione było dowozu żywności: cena węgla poskoczyła o 7 szylingów na tonnie. Mróz nie ustaje, gdyby zwolniał nagle, powódź zagraża miastu. Śmiertelność ogromna, położenie mieszkańców rozpaczliwe. Robotnicy bez zarobku, głodni i wynędzniali tysiącami żebrzą po ulicach; szpitale i domy przytułku przepełnione.

Obecnie jeszcze przeszło w dwudziestu hrabstwach, całe pociągi kolejowe leżą głęboko zagrzebane w śniegu. W Devonschire i w Cornvall, zginęło na wielkich bagnach około 27,000 sztuk owiec i 50,000 sztuk bydła rogatego. Ratunek był niemożebny, śnieg pokrywał ziemię na 12 stóp wysokości. W hrabstwie Wales nawet poczty królewskie nie mogły kursować, pomimo najenergiczniejszych usiłowań zarządu. Wskutek przypływu morza, wody Tamizy podniosły się tak wysoko, że spiętrzone kry dosięgały drugopiętrowego tarasu Izby Gmin. W Duwrze tama admiralicyi zupełnie prawie została zniszczona; burza unosiła kamienie ważące po 20 centnarów i rzucała je w morze.

W Hiszpanii spadły także ogromne śniegi; cały kraj pokrył się grubym śniegowym całunem; miejscami bieg pociągów został wstrzymany. Madryt przypomina jakieś północne miasto. Mieszkańcy nie pojmują co się stało, zdziwieni nieznanym sobie widokiem wielkich płach śniegu. Sam tylko młody król wielki amator jazdy na łyżwach, zadowolniony jest ze ślizgawek jakie urządził sobie na zamarzłych wodach w ogrodach pałacowych.

+ W roku 1879—1880 wydano w Stanach Zjednoczonych 13,000 patentów na różne wynalazki; w liczbie otrzymujących je osób, mieści się 70 kobiet, którym Ameryka zawdzięcza nader pożyteczne wynalazki mechaniczne, jako to: przyrząd służący do tłumienia hałaśliwego, tak dokuczliwego nieraz dla podróżnych stuku pociągów w biegu; przyrządów ratunkowych dla płynących okrętami, i liczny szereg przyrządów odnoszących się do gospodarstwa domowego. Dzięki tym wynalazkom dokonanym przez specyalnie wykształcone kobiety, lubiący sypiać w podróży będą mogli drzemać spokojnie w wagonach, bezpieczniej podróżować po morzach i korzystać z wygód jakie zapewnić może udoskonalenie przedmiotów służących do gospodarstwa domowego. Dotąd kobiety amerykańskie były już adwokatami, doktorami a nawet kaznodziejami, obecnie sięgnęły jeszcze po laury wynalazków.

W Paryżu damy wielkiego świata, nie susząc sobie mózgu nad wynalazkami, założyły instytucyą dobroczynną, w której kapitał zakładowy zastępuje ich praca. Jestto stowarzyszenie wsparcia dla wdów i sierot po oficerach armii i marynarki oraz po urzędnikach sądowych. Każda z należących do stowarzyszenia, opłaca 12 fr. rocznie, a dla powiększenia dochodów, otworzono sklep w najpiękniejszej dzielnicy Paryża, na bulwarze Hausman, przy Operze, w którym stowarzyszone z kolei sprzedają różne galanterye, cacka, drobiazgi i graciki. Sklep ten urządzony jest jak każdy sklep zwykły, ceny nie wyższe jak gdziekolwiek i nikt nie jest obowiązany do naddatków, a za kantorem stoją piękne, hogato strojne księżne, marszałkowe i hrabianki, zatem natłok kupujących ogromny, zyski znaczne. Jeśli panie te wytrwają w przedsięwzięciu, będą mogły wiele zrobić dobrego, wiele łez otrzéć i zapisać swe nazwiska niezatartemi zgłoskami, w sercach nieszczęśliwych ofiar ubóstwa i niedoli. Piękny to przykład dla pań wielkiego świata, chorujących na nudy... z bezczynności.

Adres: HELENA DĄBROWSKA utrzymująca Bióro informacyjno-nauczycielskie, Krakowskie Przedmieście Nr. 71, w Warszawie. Imię HELENA należy zawsze dopisywać.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 27 Января 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 7 r. 1881.

TAK BLIZKO SZCZĘŚCIA.

(przekład z francuzkiego)

przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Stefania nie miała czasu słowa przemówić do nich; słychać było już głosy nadchodzących, Jerzego i pani von Laybach; nietylko winowajcy ale i ona zadrżała i zbladła. Nagłym ruchem skinęła na księcia, otworzyła ukryte drzwiczki, wskazała mu schody, poczem zamknęła drzwi i stanęła około zawstydzonej Heleny. W tejże chwili podniesiono portierę i Jerzy ukazał się na progu.

— Ach! znajduję was razem! powinienem się był tego domyśléć, zawołał uradowany. Ale co tobie, Heleno?

— Nic, jestem tylko trochę zmęczona, wyszeptała.

— Żegnam łaskawą panią, rzekła przysuwając się pani von Laybach; widocznie jesteś pani bardzo znużona. Jakże niezrównaną przyjemność zawdzięcza jej moja córka, jak niewypowiedzianie dobrą jesteś dla niej!

— O tak! niewypowiedzianie, anielsko dobrą! nigdy o tem nie zapomnę... rzekła Helena, biorąc rękę pani d'Éricey.

Stefania usunęła rękę zwolna i poważnie; gdy ją pożegnali, ukryła twarz w dłoniach, mówiąc:

— Biedny Jerzy! biedny mój przyjacielu!

I pozostała tak chwilę pod wrażeniem zdz iwienia i zarazem głębokiej boleści; potem wstała i otworzyła drzwi prowadzące do schodów — księcia już nie było. Zamknąwszy drzwi usiadła na kozetce i w boleśnem zatonęła rozmyślaniu.

Nie samo nieszczęście Jerzego zajmowało ją w tej chwili; myślała także o odpowiedzialności jaką ściągała na nią przedchwilowa scena. Co tu począć?... czy przestrzedz Jerzego czy jego ojca?... czy zawiadomić go o tem co widziała?... ale wtedy zniweczy najdroższe złudzenia tego ukochanego przyjaciela i towarzysza lat młodocianych, który tak całą duszą ukochał Helenę i złożył w tej miłości szczęście całego życia!...

Ale z drugiej strony jakże znów nie zawiadomić go o fałszu i zdradzie tej dziewczyny?... bo nie ulega wątpliwości że oba spotkania dzisiejsze były umówione i ułożone. Widocznie Helena wiedziała o której godzinie książę przybędzie do bazaru, i dla tego wysłała narzeczonego do Cours-la-Reine, i wtedy musieli się umówić że książę dziś jeszcze zobaczy się z nią w salonach pani d'Éricey. W tym celu zażądał od pana d'Éricey żeby go przedstawił żonie. I Helena mogła się tego dopuścić, przyrzekłszy Jerzemu iż zerwie wszelkie stosunki z tym osławionym człowiekiem!

— O! mój Boże, co tu począć, co tu począć!... wołała biedna kobieta. Jakże to straszne zadanie występować w roli oskarżycielki, nie módz zasięgnąć rady jedynego przyjaciela w którym tak nieograniczone miała zaufanie!

I mimowolnie przyszło jej na myśl bolesne jej osamotnienie, jej nieszczęśliwe położenie pozbawiające ją wszelkiej opieki i rady, wystawiające na nieczne zniewagi. Jednak ostatnie to wspomnienie nie wycisnęło łez z jej oczu; obrażona duma i pogarda nie budzą rozrzewnienia — ta rana była tylko powierzchowną — to też myśli jej prędko zwróciły się do Jerzego.

— Ach! jakże on okropnie cierpiéć będzie, poznawszy że zdeptano jego miłość, że jej zdradzieckie usta wypowiadały mu kłamliwe zapewnienia wzajemności!... jakże to boleśnie nie być kochanym od istoty którą się ukochało całą duszą!...

I w pamięci jej stanęły minione lata, kiedy i ona cierpiała podobnie, i łzy popłynęły z jej oczu. Przyniosły jej pewną ulgę, uspokoiła się powoli i przypomniała sobie iż ma spędzić wieczór w towarzystwie hrabiego de Fleynac. W obecnym stanie rzeczy i usposobieniu swojem, myśl ta przejmowała ją trwogą. Wtem wszedł służący i oddał jej list od hrabiego.

„Kochana Stenio, pisał, moja niestrudzona przyszła synowa, pragnie koniecznie abyśmy oba z Jerzym zostali u niej na obiedzie, a potem razem spędzili wieczór w teatrze. Jakże tu odmówić tej prześlicznej osóbce? a i ty może rada będziesz mogąc odpocząć po dniu tak nużącym. Do jutra, droga Stenio.

Twój stary przyjaciel."

Stenia odetchnęła swobodniej, rozkazała nie przyjmować nikogo i pozostawszy sama, probowała czytać, ale dręczący niepokój i obawy wytrącały jej z rąk książkę, same smutne przed oczy stawiając obrazy.

IX.

Po dniach podobnych nader rzadko następują spokojne noce: to też i sen Stefanii był przerywany i gorączkowy. Długo bardzo nie mogła zasnąć; nazajutrz po dziewiątej spała jeszcze, gdy do drzwi jej zapukano.

— Wejdź, rzekła na pół śpiąca.

Weszła panna służąca z jakąś zakłopotaną miną.

— Pan chciałby pomówić z panią.

— Pan! powtórzyła zdumiona; albo ż pan jest w pałacu?

— Pan przyjechał przed chwilą i prosi aby pani przyszła do jego gabinetu.

— Powiedz że zaraz wstanę i przyjdę.

Ubrawszy się weszła do gabinetu pana d'Éricey; palił cygaro, siedząc na małem krzesełku jak na koniu; zszedł z niego jednak aby ją powitać.

— Czy możesz za dwie godzin być gotową do wyjazdu? zapytał.

— Do wyjazdu! gdzie i po co?

— Najwięcej na dzień lub dwa; proponuję mi nabycie prześlicznego szaletu w Trouville; kupno nadzwyczaj korzystne — sposobność wyjątkowa... Chcę go nabyć jeżli ci się podoba... przyjemny pobyt na czas upałów... trzeba żebyś go obejrzała; naglą mnie o stanowczą dyecyzyę.

Łatwo pojąć jak oziemble odpowiedziała Stefania, pamiętająca wczorajsze zajście.

— Uprzejmie dziękuję; zrób jak ci się podoba; nic nie żądam i nie mieszam się do twoich interesów.

— Wiem... wiem... rzekł nieco zakłopotany; gniewasz się! wiem... bardzo żałuję... nader mi przykro... niepodobna wątpić o tem... nie powtórzy się więcej.

— Będę się starała nie narażać na to.

— Doprawdy... bardzo, bardzo żałuję! ale musisz pojechać... proszę nie odmawiaj mi.

— Nie mogę; hrabia de Fleynac jest u nas i wyjeżdża za pare dni.

— Bah! on u nas uważa się jak u siebie! zresztą zastaniesz go jeszcze, powrócimy jutro wieczór, zawołał unosząc się; a potem cóż on mnie obchodzi! proszę wydaj odpowiednie rozkazy, jedziemy za dwie godziny.

I nie czekając odpowiedzi, wziął kapelusz i wyszedł.

Nie było rady, trzeba się było zastosować do jego woli, co też uczyniła Stefania pomimo wewnętrznego oburzenia. Może mąż jej chciał tym sposobem zaprotestować przeciw wczorajszemu skandalowi — zresztą nie chciała wywoływać scen i sprzeczek.

Ponieważ hrabia już wyszedł, napisała więc do niego tłómacząc swoją nieobecność, i obiecując powrócić nazajutrz, prosiła aby zaczekał na nią. O jedenastej była już z Feliksem na drodze do Normandyi; dziwna rzecz! i on zdawał się zarówno niezadowolniony z tej improwizowanej podróży, i usadziwszy ją w wagonie damskim, przeszedł do innego, dla palących.

Gdy stanęli w hotelu, pan d'Éricey oznajmił że pójdzie się przejść, a szalet obejrzą jutro. Ale nazajutrz ani się pokazał; jakiś przysłany przez niego posłaniec oznajmił że szaletu dla jakichś powodów dziś widziéć nie można, więc on odbędzie małą morską wycieczkę. Nie wiedząc co robić, Stefania najęła powóz, aby objechać zielone ukwiecone wybrzeża pięknego niebieskiego morza; prześliczne krajobrazy, malownicza przyroda, uspokoiły ją nieco i złagodziły rozstrojenie nerwów.

Trzy dni oczekiwała zapowiadanego ciągle powrotu pana d'Éricey; rozdrażniona, zrozpaczona prawie, chciała już zostawić do niego pare słów i wracać do Paryża, ale pojawił się wtedy właśnie. Pokazał jej śliczny szalet, w zachwycającem położeniu; pomimo swego znudzenia Stefania obejrzała go z przyjemnością i myślała z zadowolnieniem o przepędzeniu w niem lata.

— Czy na to lato będzie można objąć go w posiadanie, jeżlibyśmy go nabyli? zapytała oprowadzającej kobiety.

— Ależ dom ten nie jest do sprzedania! odpowiedziała żdziwiona.

— Dajże pokój wszelkim pytaniom, rzekł cicho Feliks, kobieta ta nie wie o niczem.

Gdy po obejrzeniu wracali do Trouville, Stefania rzekła do męża:

— Więc teraz obecność tu moja jest zbyteczną i mogę wrócić do Paryża?

— Tak ci pilno? odrzekł Feliks ze szczególniejszym uśmiechem.

— Rzeczywiście, i wiesz dla czego; jutro zapewnie panowie de Fleynac opuszczą Paryż, chcę koniecznie widziéć się z niemi zanim wyjadą do Florencyi.

— Ależ nie ma ich już w Paryżu—tak mi przynajmniej doniesiono.

— Niepodobna! stary mój przyjaciel nie odjechałby nie uprzedziwszy mnie o tem.

— Tego nie wiem, ale to pewna że wyjechali wczoraj. Cóż cię to może obchodzić? dałaś już swój podarunek ślubny tej pięknej pannie, która wydaje mi się bardzo przebiegła, a dość jeszcze będziesz mogła nacieszyć się swoim, jak go nazywasz, starym przyjacielem.

Stefania nic nie odpowiedziała; widocznie mąż mówił prawdę że już wyjechali, a tak niepodobna jej będzie przestrzedz ojca Jerzego. Dręczona tą myślą, zasmucona że nie mogła pożegnać przyjaciela lat dziecinnych, milcząc zasunęła się w kąt powozu, i rzęsiste łzy spływały po jej zbladłej twarzy.

Jakkolwiek samolub i zepsuty, mąż został widać wzruszony tą cichą boleścią, gdyż zaczął kląć i wygadywać coś po cichu, a z mamrotania tego Stefania dosłyszała tylko: dyabli nadali tego księcia de Sauves.

Zdziwiona spojrzała na niego zapytując:

— Cóż to ma wspólnego z księciem de Sauves.

— Co ma wspólnego!... przecież to jego szalet.

— A! zawołała podnosząc się nieco z siedzenia i patrząc mu prosto w oczy, więc to on namówił cię do oglądania go teraz właśnie?

— I cóż w tem tak dziwnego? przecież może go coś naglić do sprzedaży... Czemuż tak patrzysz się na mnie?

Stefania odwróciła oczy; czuła jak bezgraniczną muszą wyrażać pogardę i wyrzuty. Odgadywała intrygę której mąż jej był wspólnikiem lub bezwiednym agentem; —po chwili rzekła tylko:

— Jeźliś wiedział co czynisz, niech ci Bóg przebaczy!

— Niech dyabli porwą kobiety i ich sprawki! zawołał, gniewając się tem więcej iż czuł się winnym.

W tejże chwili powóz stanął przed hotelem; Stefania poszła do swego pokoju, Feliks wyszedł i nie pokazał się już tego wieczoru. Nazajutrz odjechali do Paryża.

Zaledwie weszła do salonu, służący wskazał jej kilka listów leżących na stole.

— Ten oto, rzekł, oddał mi hrabia de Fleynac onegdaj przed samym odjazdem, z poleceniem doręczenia jak tylko pani powróci.

— Dlaczego nie przesłano mi tych listów do Trouville?

— Pan nie kazał.

Stefania nic już nie mówiąc przeszła do swego pokoju, i rozpieczętowała list hrabiego.

„Wyjeżdżamy, drogie dziecię, nie mogę oprzéć się naleganiom wszystkich co mnie otaczają. Helena pragnie jak najśpieszniej opuścić Paryż, a śliczna jej twarzyczka takiem promienieje uszczęśliwieniem że zbliża się chwila ich ślubu, iż patrząc na nią pojmuję niecierpliwość Jerzego. Pojmiesz łatwo jak wiele mnie to kosztuje że odjeżdżam nie pożegnawszy się z tobą, ale powiedziano mi że pan d'Éricey zamierza kilka dni jeszcze zabawić w Trouville. Wiem że konieczność tylko mogła cię zmusić do wyjazdu; żegnam cię więc listownie, żegnam najserdeczniejszem ojcowskiem uściśnieniem. Zobaczymy się niedługo, gdyż wracam zaraz po ślubie Jerzego, który odbędzie się zaraz po naszem przybyciu do Florencyi.“

Poniżej był przypisek Jerzego.

„Mamy wielki żal do pana d'Éricey, kochana Stenio, że nam cię porwał tak nagle i pozbawił sposobności pożegnania i podziękowania za niewysłowioną dobroć twoją. Listownie więc tylko mogę tego dopełnić i ucałować rączki najlepszej naszej przyjaciółki, a zarazem przesłać serdeczne pozdrowienia Heleny i pani von Laybach. Z Florencyi pisać będę do ciebie, a teraz wiedząc jak żywo cię los mój obchodzi, donoszę ci że jestem najszczęśliwszym z ludzi.“

Łatwo pojąć jak bolesne uczucie miotało sercem Stefanii, podczas czytania tych listów. Stało się! nie mogła zapobiedz pewnemu prawie nieszczęściu przestrzedz swoich przyjaciół i nie dopuścić zawarcia tego fatalnego związku.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Śliczny był dzień rozpoczynający rok 1870. Lekki przymrozek osuszył ulice, nie było najlżejszego wiatru; niebo jaśniało czystym błękitem; słońce pełnym przyświecało blaskiem. Wesoła ludność biegała z paczkami po ulicach, śpiesząc na zebrania rodzinne lub z odwiedzinami noworocznemi; sklepy porządzane pod gołem niebem tak zacieśniały bulwary, że przejść było trudno; mimo to gdzie tylko nastręczało się coś do widzenia, coś zabawnego lub śmiesznego, tam zbierały się zaraz liczne tłumy.

Któż patrząc na to miasto tak rozradowane, tak jaśniejące radością i bogactwem, tak dumne ze swej świetności i chwały, mógł przewidzieć smutną przyszłość i klęski jakie spaść miały na nie w tymże samym tak wesoło rozpoczynającym się roku.

W pałacu d'Éricey złożono niezliczoną liczbę biletów wizytowych, ale nie przyjmowano nikogo, prócz najbliższych, najzaufańszych przyjaciół. Oddawszy parę niezbędnych wizyt, Stefania powróciła szarą godziną do domu. Usiadłszy w fotelu przed kominkiem, Stefania zatonęła w smutnych myślach jakie w podobne rocznice zawsze nasuwają się w chwilach samotności, tym których życie nie upływało na różach.

Dwa lata upłynęło od dnia ślubu Jerzego. Stefania spoglądała w przeszłość oczami duszy, zdolnemi tak wiele rzeczy jednem ogarnąć spojrzeniem, i przedstawiły jej się same smutki i boleści, jakie w tym przeciągu czasu w niej i koło niej się nagromadziły. Rozmyślała nad swoją zmarnowaną młodością; o życiu swem pozbawionem wszelkiego szczęścia, podzielonych uczuć, wszystkiego co może zapełnić serce kobiety. Coraz skandaliczniejsze postępowanie pana d'Éricey, goryczą zatruwało jej życie — i ani jednej szczęśliwszej, pogodniejszej chwilki, ani jednego wspomnienia mogącego rozjaśnić tyle smutków, osłodzić tyle przebytych cierpień. Jedyną jej pociechą była przyjaźń Jerzego.

Po powrocie do Belourde, Jerzy zaraz został w okręgu swoim wybrany do Izby deputowanych; musiał więc przenieść się do Paryża, co ściśniło jeszcze węzły przyjaźni łączące ich od lat dziecinnych. Ale i z tej strony ileż bolesnych nasuwało jej się wrażeń! Niestety! nie zawiodły ją przewidywania co do przyszłości jaką zgotowało mu to nieszczęsne ożenienie; nigdy jednak nie mówili z sobą o bolesnem jego rozczarowaniu.

W początkach ich pobrania, zdawało się że wpływ otwartego, prawego i szlachetnego charakteru Jerzego, zacznie oddziaływać na Helenę, ale obecnie możnaby sądzić że postanowiła sobie postępować sprzecznie z jego zasadami i sposobem widzenia, drażnić go i ranić całem zachowaniem swojem, zbyt swobodnem i rażącem. Ileż to razy, przedstawiwszy ją gdzie na prośbę Jerzego, Stefania cierpiała i rumieniła się patrząc na jej obejście, naśladujące a nawet przewyższające zachowywanie się kobiet najśmielszych i najwięcej *wyemancypowanych*, aby tylko być więcej od nich otoczoną i liczniejsze odbierać hołdy — czem wszystkim dobrze życzącym sobie największą sprawiała przykrość.

Na szczęście Jerzy nie o wszystkiem wiedział, gdyż prace nieodłączne od sumiennego spełnienia mandatu, często zatrzymywały go w Izbie. Ilekroć mógł towarzyszyć Helenie, starała się ona wtedy unikać zbyt rażących wybryków, ale i to co mógł widzieć aż nadto było dostatecznem aby smutkiem i goryczą zatruć mu życie.

To tylko pocieszało panią d'Éricey, że książę de Sauves niczem nie przyczynił się do wszystkich tych powodów smutku i niezadowolnienia, bo przez te całe dwa lata bawił za granicą.

W tej chwili weszło dwóch służących przynosząc lampy; pospuszczali jedwabne story i pozamykali okienice. Zaledwie wyszli, wpadła Helena owinięta w kosztowne futro, piękniejsza niż kiedykolwiek, ze śmiałą, wyzywającą miną.

— Dzień dobry, ukochana moja, rzekła witając Stefanię z płochą lekkomyślnością. Wszelkich pomyślności w tym nowym roku — chociaż nie wiem już czegoby ci życzyć można, gdyż posiadasz już wszystko czego do szczęścia potrzeba. Jesteś wolna jak ptaszek, zajmujesz w świecie godne zazdrości stanowisko, i nie masz takiego męża co byle nie za straszne uważa zbrodnie.

Stefania z przykrością oddała zimny, konwencyonalny uścisk. Jak zwykle osoby umiejące kochać, nie miała pieszczot na zbyciu. Gdy Helena usiadła naprzeciw niej, wyczytała w jej twarzy gniew tłumiony, kryjący się pod płaszczykiem udanej wesołości.

— Życzyłabym ci większego nad to wszystko szczęścia, gdybyś nie posiadała największego jakiego można dostąpić na ziemi: żona Jerzego potrzebuje tylko chcieć, aby być najszczęśliwszą z kobiet.

— A toś się w porę wybrała z tem powiedzeniem! zawołała Helena; przed chwilą właśnie wyprawiłam mu scenę, którą mam nadzieję, popamięta do śmierci. Zaczął mi robić jakieś uwagi co do mego stosunku z panią de Bers: nie podobało mu się że bywam z nią wszędzie, to znów że zanadto rzucam się w wir świata, że nigdy prawie nie jestem w domu, i t. p. niedorzeczności. Ale wypowiedziałam mu słowa prawdy, tak że pewnie raz na zawsze straci ochotę do prawienia mi jakichś morałów.

W wyrazistej twarzy pani d'Éricey, nader przykre odbiło się wrażenie; Helena wzięła je za dowód współczucia dla siebie, i zawołała śmiejąc się:

— O! nie troszcz się o mnie; umiem ja sobie radzić; nikt nie zdoła skłonić mnie do czegoś czego nie chcę.

— Tego nie obawiam się bynajmniej, odpowiedziała łagodnie i smutnie Stefania, ale skoro już czynisz mi tak poufne zwierzenia, więc powiem iż powinnabyś zastanowić się czy takiem postępowaniem nie zrazisz zbytecznie Jerzego. Jest on bardzo dobry i delikatny, ale ma wyrobione zasady i przekonania, od których nie odstępuje. Przeświadczenie że ich nie podzielasz, mogłoby bardzo wpłynąć na oziębienie jego przywiązania.

— A! zawołała z szyderskim śmiechem Helena, cóż to za straszne słowa!... tylko że nic a nic mnie nie przerażają. Jerzy wié co ma o tem myśléć — podczas pobytu na wsi sama otworzyłam mu oczy. Chciał wprządz mnie do swego tradycyonalnego ro-

dzinnego jarzma; życzył sobie abym chodziła po chałupach, odwiedzała chorych wieśniaków i t. p. Brum! dreszcz mnie przejmuje na samo wspomnienie tak tam brudno i duszno, takie smrodliwe wyziewy... Ha! to zgroza!.. Powiedziałam mu więc po prostu: chodzić nie będę, posyłaj im pieniądze przez kogoś ze służby, zaręczam że więcej się tem ucieszą niż naszemi czułościami.

— Raz jeszcze powtarzam i proszę: zastanów się Heleno. Nie sprzeciwiaj się zasadom, nie zrażaj uczuć męża, bo mógłby przestać cię kochać... a wtedy poznałabyś niezłomną siłę jego woli.

— Ha! trudno, odrzekła; nie myślę bynajmniej wieść jakiegoś klasztornego życia, i powiedziałam to Jerzemu. Czy mu się to podoba czy nie, dziś wieczorem będę u pani de Bers, gdzie wesoło zakończymy pierwszy dzień roku. Zbierze nas się tam wybrane kółko młodych pań i panów; będziem tańczyć i bawić się wesoło, w nieobecności argusów.

— Ależ Jerzy...

— Och! Jerzy gniewa się i złości; chce koniecznie żebyśmy poszli do kuzynów jego, starych państwa d'Albys, do tych zasuszonych mumij, którzy w kobiecie wygorsowanej widzą uosobienie wszelkich zbrodni, i gdzie trzeba siedzieć zatuloną szalem po same uszy.

Dał się słyszeć dzwonek i za chwilę Jerzy wszedł do salonu.

— Uciekam! zawołała Helena, zapinając futro z wielkiem niby przerażeniem; boję się, mógłby mnie rozszarpać... Rób z nim co chcesz, zatrzymaj go albo nie, ja jadę do pani de Bers, jak tylko się przebiorę.

Przeszła obok Jerzego z ironicznym na ustach uśmiechem; cofnął się zostawiając jej wolne przejście i ani najmniejszym nie zatrzymując ruchem. Gdy wyszła z salonu. usiadł obok pani d'Éricey, a cała postawa jego zdradzała ogromne przygnębienie.

— Jerzy! szepnął głos słodki.

Spojrzał na panią d'Éricey; zobaczył łzy w jej oczach, w twarzy wyraz głębokiego współczucia.

— Stefanio droga! zawołał; jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwy!

— Nie przywiązuj tak wielkiej wagi do poróżnienia którego znów aż za nieszczęście uważać nie można, rzekła chcąc dodać mu otuchy.

— Więc powiedziała ci?...

— Mówiła tylko że nie podobają ci się jej tak ścisłe stosunki...

— Czyż nie mam słuszności? czyż mogę pozwalać aby żona moja była nierozłączoną towarzyszką najwięcej okrzyczanej kobiety w Paryżu?... ale to nic jeszcze; temu przeszkodzić mogę... Ale nie w mojej mocy ją odmienić, cofnąć o czem dowiedziałem się na wsi. Znosiłem bez skargi jej kaprysy, wymagania, obojętność niczem nieusprawiedliwioną. wymagałem tylko aby ojcu memu okazywała należny mu szacunek i względy — od tego nie mogłem odstąpić, i to ją rozgniewało. Chcąc mi dokuczyć, odsłoniła zasłonę pokrywającą przeszłość. Gdy wierzyłem że podziela najdroższe uczucia moje, ona oszukiwała mnie szydząc z mej łatwowierności; sama wyznała że jestem jej najzupełniej obojętny, że mnie nigdy nie kochała... Ta pewność zabiła moje do niej przywiązanie, którego ocenić nie umiała.

Mówił z tłumioną boleścią ale spokojnie, jak człowiek którego przestał już obchodzić powód przebytych cierpień.

— Oznajmiłem jej moją wolę, może jej nie uszanować — ale wtedy powezmę stanowcze postanowienie.

Stefania siedziała drżąca i głęboko wstrząśnięta. Te proste słowa wymówione stanowczo, z poczuciem niezwrotnego nieszczęścia, szarpały jej duszę budząc zarazem w jej sercu gorzki żal do Heleny, żywe współczucie dla Jerzego — ale prawość charakteru i prawdziwa przyjaźń jaką żywiła dla towarzysza lat dziecinnych, kazały jej zapanować nad odrazą jaką budziła w niej Helena.

— Nie bądź zanadto surowym, nie nadawaj zbytecznej wagi słowom wypowiedzianym w gniewie, których może serce jej nie potwierdzało.

— Chciałem tak wierzyć z początku, i przeboląłem to złudzenie. Oznajmiła mi dziś że czy ze mną czy sama będzie na tym wieczorze — ale nie taiła że woli iść sama — niech robi co chce.

— Nie, kochany Jerzy, tak być nie może; nie zostawiaj jej samej w tak niebezpiecznem towarzystwie. Nawet przestawszy kochać żonę winieneś jej opiekę; nie możesz dozwolić aby mogła pośliznąć się na tak niebezpiecznej pochyłości.

— Jak zawsze tak i teraz masz słuszność, kochana Stenio, odrzekł po chwili namysłu. Choć wiem że to niczemu nie zapobieży, choć tak wiele mnie kosztować będzie... jednakże choćby przez wzgląd na ojca mego... posłucham twej rady i będę jej towarzyszyć na ten wieczór. Bywaj zdrowa, najlepsza przyjaciółko!

Ujął obie jej ręce i patrzył na nią z głębokiem rozrzewnieniem; pochyliła głowę, zbladła i zaledwie zdołała wyszeptać:

— Do widzenia!

Została sama, z sercem rozdartem boleśnemi temi zwierzeniami.

II.

Wieczór pani de Bers rozpoczynał się późno; był to wybryk fantazyi tej młodej i ładnej kobiety, która pod względem opinii oddawna już nie wiele miała do stracenia. Mąż jej, z pochodzenia Hiszpan, nigdy niewidzialny, miał być wiecznie zajęty politycznemi sprawami swych wygnanych książąt; nie znano także źródła jej majątku, ale pochodziła z dobrej familii i utrzymywała dom na odpowiedniej stopie, więc tolerowano ją w towarzystwach i wiele lekkomyślnych kobiet bywało u niej. Osoby poważniej myślące, nigdy nie pokazywały się w jej salonach — żartowała sobie z tego, mówiąc że właśnie ta nieobecność pedantek dodaje uroku jej zebraniom. Pod względem mężczyzn towarzystwo było dość dobrane; kobiety były to po większej części cudzoziemki.

Pani de Beres zdawała się być bardzo uradowana z tego iż dom jej pozyskał nieco skandaliczny rozgłos, i że dziwne rzeczy rozpowiadano sobie o nim po cichu. Tym razem, jakby wyzywając opinię, ułożyła wydanie tańcującego wieczoru, na którym młode panie miały przybyć bez mężów, a z mężczyzn zaprosiła najmodniejszą młodzież.

O północy salony jaśniały rzęsistem światłem. W jednym grano na fortepianie i tańczono, w innych rozmawiano lub przechadzano się gawędząc poufale; każdy czuł się tu swobodniejszym niż u siebie.

Drzwi się otworzyły; wszedł służący i oddał list pani domu.

Siedziała na nizkim teteliku, a tuż przed nią na taborecie mężczyzna z którym cichą prowadziła rozmowę. Nie można ich jednak podejrzywać o wzajemną skłonność, gdyż mówili o trzeciej osobie.

— Oto właśnie list od niej! rzekła pani de Bers, dowiemy się dla czego nie przybyła. I przeczytała co następuje.

„Jedyna moja! Mąż koniecznie chciał mi towarzyszyć — myślę że i dla mnie i dla innych lepiej że pozostanę w domu.

Furiosa.“

— Bardzo pojmuję że musi być „furiosa“ rzekł młody człowiek. Trzebaż żeby panu de Fleynac zachciało się być niewygodnym mężem, właśnie gdy powracam po dwuletniej nieobecności!... Mówiono mi że nie broni żonie wychodzić samej?

— Tak, a to dzięki Izbie, referatom, sprawozdaniom i t. d. Już przeszłej zimy Helena wyzwoliła się z kuratelli tej pedantki, pani d'Éricey, która wprowadziła ją w świat i miała sobie za obowiązek nie spuszczać jej z oczu.

— No, już chyba tu jej nie towarzyszyła?

— Na szczęście! a cóż nam tu po niej!

— Hum! gdyby ją można oswoić! to kobieta pełna uroku. Z chęcią zalecałbym się do niej.

— Ta! ta! ta! taki don żuan i ta eteryczna istota!... co za szalona myśl.

— Być może! ale biała ta gołąbka nader ponętna. Figura jak utoczona, a piękne oczy jakże byłyby wymowne, gdyby zaczęły pewnym przemawiać językiem.

— Bah! chyba pan jej go nie nauczysz. Cóżby powiedziała biedna Helena?

— Prawdę mówiąc, stara to już historya, miłość odgrzewana po dwuletniem rozłączeniu; ale, zresztą... Pani będziesz mogła powiedzieć, co teraz porabia d'Éricey?

— Ten głupiec przesiaduje u tancerek i gra w karty, i podobno olbrzymim krokiem dąży do ruiny.

— Czy tak!... No, no! rzekł książę de Sauves, trzeba odnowić dawną przyjaźń, kto wie na co się to przyda. Żegnam cię, Senora, chociaż dziś zostałem zawiedziony w oczekiwaniu, jednak odchodzę zadowolniony.

I opuścił wesołe zebranie; inni goście bawili się do późnej nocy.

. . . .

Pani d'Éricey daremnie przez cztery dni oczekiwała przybycia Jerzego; rzadko się zdarzało aby przez tak długi przeciąg czasu nie przyszedł porozmawiać z nią o szarej godzinie. Spodziewała się zobaczyć go za każdem odezwaniem się dzwonka — ale zawsze pojawiał się ktoś nie oczekiwany. Zamierzała pojechać do nich aby się dowiedzieć czy nastąpiła zgoda, gdy wtem przybyła Helena, bardzo uprzejma i uśmiechnięta. Gdy Stefania zapytała o Jerzego, odpowiedziała że mąż teraz całe dnie zajęty jest pracą.

— Zamierza towarzyszyć mi na bale i wizyty! śmiać mi się chce z tych zachciewek, wiem że temu nie podoła... Ale zresztą jeźli taka jego wola...

I zaśmiała się, jednak mniej sceptycznie niż zwykle.

Nazajutrz wieczorem, znowu, tym razem z Jerzym przybyła do pani d'Éricey. W końcu zeszłego karnawału, przestała ona prawie bywać w domu, w którym nie spotykała ulubionego swego towarzystwa, ani też zbytniej swobody obejścia do jakiego nawykła. Od otwarcia Izb, ani razu nie była tu wieczorem. Stefania zadziwiła się widząc ją przybywającą z mężem i dobre stąd wyprowadzała wnioski. Niebawem jednak spostrzegła z boleścią, że spokojny, ale zimny i znękany wyraz twarzy Jerzego, nic nie zwiastował dobrego.

Helena przeciwnie była bardzo ożywiona, uprzejma, mówiła wiele, słowem była inną niż zwykle. Serdeczna dla pani domu, nadzwyczaj uprzejma dla starszych panów, wesoła i naturalna z młodymi, ogólne zyskała uznanie. Stefania zwróciła na to uwagę Jerzego, podając mu filiżankę herbaty.

— Zdaje mi się że w Helenie zaszła nader szczęśliwa zmiana?

— Rzeczywiście; ale czy to zmiana stanowcza, czy chwilowa, powiedzieć nie umiem, odpowiedział.

— Miejmy nadzieję; nie bądź zbyt niedowierzającym.

— Zaufanie nie odradza się, odpowiedział Jerzy; uleciało na zawsze i już nie wróci.

Małe zamieszanie zrobiło się w salonie; oboje się obejrzeli — powodem jego było wejście pana d'Ericey.

Było to coś nadzwyczajnego, gdyż nigdy wieczorem nie ukazywał się w salonie; niespodzianka ta bardzo niemiłe wywarła wrażenie, wszyscy zostali jakby zimną wodą oblani. Przerwano prowadzone rozmowy, nowe zawiązać było trudno. Feliks skinął głową żonie, i nie tłómacząc swojej obecności usiadł przy Helenie, która rozmawiała z otaczającą ją gromadką. Za zbliżeniem się pana d'Éricey, mocno się zarumieniła.

— Uszczęśliwiony jestem widząc panią, rzekł do niej. Powracasz do nas... tem lepiej... Ja także... jak pani widzi... całkiem patryarchalnie... powrót do domowego ogniska... Klub, śmiertelne nudy... Pani wiesz... wkrótce...

Resztę dopowiedział cicho. Helena mocno się zaczerwieniła i odpowiedziała tylko przyzwalającem skinieniem głowy.

— Będziesz pani niedługo, wszak tak? rzekł Feliks gdy wstała aby się pożegnać.

Mrugnął oczami, twarz jej więcej jeszcze poczerwieniała niż pierwej.

— Bądź pani spokojna, rzekł półgłosem; przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciołmi.

Helena podała mu rękę nie odpowiadając i wyszła z Jerzym. Reszta towarzystwa rozeszła się powoli; Stefania pozostała sama z mężem.

— Ładniutka ta mała de Fleynac i nie udaje skromności, słowo honoru. Ale każ no poustawiać stoliki do kart w ostatnim salonie, chętnie zagram tu partyjkę... Klub nudny... zabijający... można tu grać...

Usłyszawszy to niespodziewane oznajmienie, Stefania osłupiała z zadziwienia.

— Ale gdzież znów!... z kim tu grać?... odrzekła, ogarniając myślą w jednej chwili wszelkie następstwa tej zmiany.

— Już ja sobie dobiorę towarzyszy... przyprowadzę swoich przyjaciół... znudzony grubą grą... potrzeba spokoju... Nie naprzykrzę ci się niczem... nie potrzebujesz w niczem zmieniać swoich nawyknień.

Mówiąc to zapalał cygaro.

— Do jutra... dobry wieczór... dobranoc!—I wyszedł.

Stefania zgnębiona, padła na fotel. Dotąd była opuszczona, zaniedbana, ale przynajmniej swobodna i spokojna, a w dobranem towarzystwie jakiem umiała się otoczyć, znajdowała przyjemność i rozrywkę. I jakichże to przyjaciół swoich mąż zamyśla wprowadzić? jakie wrażenie obecność jego wywrze na jej otoczenie? Wiedziała biedna dobrze iż był nie lubiany i nie cieszył się szacunkiem ani uznaniem — a i dla niej jakaż to będzie męczarnia, nieustannie mieć przed oczami człowieka, który zatruł jej życie goryczą i upokorzeniem.

Smutna i zaniepokojona przeszła do swego pokoju.

Silne wstrząśnienie nie dozwoliło jej zasnąć, mogła więc zastanowić się i zimno rozpatrzeć swoje położenie. Wprawdzie zawsze równie silny uczuwała wstręt do zapowiedzianego jej towarzystwa męża, ale zrozumiała że uniknąć go niepodobna; że nie może mężowi wzbraniać wstępu do domu, gdyż miał do tego najzupełniejsze prawo, jak ona obowiązek przyjmowania go... dopókąd domu jego nie opuści.

— Ten jeszcze ratunek pozostaje mi w ostateczności, pomyślała, Boże wspieraj mnie zanim będę do tego zniewoloną!

Wstała uspokojona powziętem postanowieniem. Nad wieczorem Jerzy przyszedł ją odwiedzić; zastał ją samą i zamyśloną.

— Porzuciłem wszystkie papiery, rzekł z przymuszoną wesołością, i przychodzę pomówić z tobą. Jak się dziś miewasz? co myślisz o niespodziewanym powrocie Feliksa?... Czy wiesz...

— Nic nie wiem, dpowiedziała z prostotą; objawił mi zamiar grywania w karty w ostatnim salonie z kilku swemi przyjaciołmi — i stosownie do jego woli kazałam postawić tam stoliki.

— Biedna Stefanio! jakże wiele masz odwagi, jak wzniosłe pojęcie obowiązku!

— Nie mam w tem zbyt wielkiej zasługi, odrzekła z goryczą; życie moje tak jest posępne i smutne iż wszystko prawie stało mi się obojętnem, prócz ojca twego, ciebie i ukochanych naszych stron rodzinnych.

Jerzy ujął jej rękę i poniósł do ust; gorąca łza spadła na nią z jego oczu, zapanował jednak nad sobą i rzekł spokojnie:

— Przychodzę objaśnić cię co jest powodem niespodziewanego powrotu Feliksa; w tych ostatnich czasach grał w karty zapamiętale, wygrywał i przegrywał szalone summy; nie podobało się to w klubie, wypowiedziano mu wiele ostrych przymówek, i przyjaciele jego poradzili aby przynajmniej czas jakiś tam nie przychodził.

Pani d'Éricey słuchała w milczeniu.

— Rozumiem teraz, rzekła przytłumionym głosem.

— Może zdołasz wpłynąć na niego zbawiennie?

— Sprobuję.

— Droga Stenio! zawołał żywo wzruszony, więcej boleję nad twojem cierpieniem niż nad swojem własnem.

— Wiesz że pod tym względem odpłacam ci wzajemnością, rzekła zwracając na niego czyste, pogodne spojrzenie. Ale nie troszcz się o mnie, Jerzy, cierpienia nie dotykające serca łatwiejsze są do zniesienia; będę się starać spełnić co mi nakazuje obowiązek — Bóg mnie nie opuści.

Wieczorem liczne grono ciekawych zebrało się w pałacu d'Éricey; rozeszła się wieść o powrocie Feliksa, chciano zobaczyć jak też żona przyjmuje to niespodziewane pojawienie się jego. Dla znudzonych i przesyconych towarzystw tegoczesnych, podobne widowiska stają się tem czem cyrk i męczennicy bywali dla rzymskiego tłumu.

Ale przyjęcie dnia tego niczem nie różniło się od zwykłych. W ostatnim salonie pan d'Éricey grał z kilku przyjaciołmi; przyłączyło się do nich kilku jeszcze panów przenoszących grę nad towarzystwo, i zdawał się być zadowolnionym o ile zezwalało na to odrętwiałe jego usposobienie i przesycenie wszystkiem. Jerzy i Helena przybyli wcześniej od innych i pomagali Stefanii w przyjmowaniu i zabawianiu gości.

Wieczór przeszedł jak zwykle; żegnając się Jerzy rzekł cicho do Stefanii:

— Zdaje się będzie to zupełnie znośnem; możesz być spokojną.

Spojrzała na niego łagodnie i smutnie, mówiąc:

— Trzeba żyć z dnia na dzień, prosić Boga aby odwrócił burzę, ale każdej chwili być do niej przygotowaną.

III.

Któż nie zna tych dni letnich, kiedy czas jest prześliczny, a mimo to wiatr południowy wiać zaczyna. Niebo czystym jaśnieje błękitem, zaledwie tu i owdzie białawy przesunie się obłoczek; słońce świeci pełnym blaskiem, powietrze jest czyste i przezroczyste, a mimo to przyroda wydaje się jakby omdlała, milczy i drży oczekując burzy, której zbliżenie czuje choć niewidzialną jest jeszcze.

Takich wrażeń doznawała Stefania w pierwszych dniach zmiany zaszłej w jej życiu z powodu obecności męża. Codziennie zadawała sobie pytanie: „Co to będzie? co z tego wyniknąć może?..

Nic nie wynikało; zdawało się że przyjazny wiatr rozpędzał chmury mogące się nagromadzić na horyzoncie jej życia. Pan d'Éricey wypełniał spokojnie program jaki sobie ułożył. Często bywał w domu na obiedzie, najregularniej wieczorem, zasiadał do gry w swojem zaufanem kółku, zdala od towarzystwa. nic a nic nie zajmując się zazwyczaj tem co mogło dziać się w salonach żony. W niektóre dni był posępny i milczący, w inne odznaczał się jakąś wybrykową wesołością i podejrzanym dowcipem — dla jednej tylko pani de Fleynac był zawsze nadzwyczaj uprzejmy. Helena była teraz stałym gościem w pałacu d'Éricey, i Feliks często rozmawiał z nią po cichu z widoczną poufałością, co nie uszło uwagi Stefanii.

Pewnego dnia prawie nie wychodził z domu i zdawał się jakiś pomieszany i niespokojny; wieczorem wstał od gry i usiadł przy Helenie. która teraz często przychodziła bez męża. Jerzy rad był temu, gdyż wiedząc w jak dobrem żona znajduje się towarzystwie, mógł pozostać i kilka godzin wieczornych, poświęcić pracy, zamiast zasiadać do niej w nocy, jak do tego był zmuszony gdy towarzyszył żonie.

Feliks zapytał o coś Heleny; Stefania była za daleko aby mogła dosłyszeć, widziała tylko że młoda kobieta czerwieniła się aż po szyję. Odpowiedziała coś jednak, i widać odpowiedź zadowolniła Feliksa, bo odszedł z uradowaną miną. Nazajutrz obiadował w domu: tego dnia na obiad zaproszony był Jerzy z żoną i kilka jeszcze osób. Rozmawiano wesoło; wtem ktoś z obecnych odezwał się:

— A to dopiero szczęście sprzyja temu księciu de Sauves!

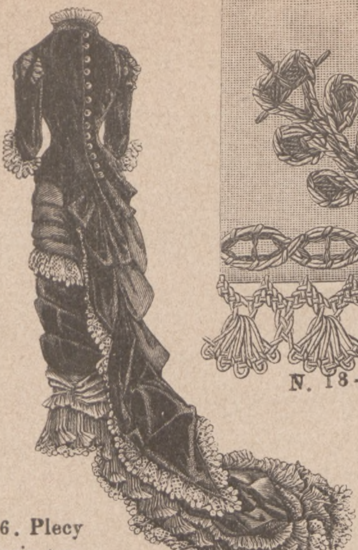
— Memu najlepszemu przyjacielowi! przerwał pan d'Éricey, nie dopuszczając tym sposobem domówienia końca frazesu, bardzo niepochlebnego dla księcia de Sauves.

— Skoro jest tak dobrym przyjacielem pana, więc musisz wiedzieć że odziedziczył ogromny spadek. Dotąd był zajęty jego objęciem i uregulowaniem, ale wraca podobno z dobrze zaopatrzonym pugilaresem, i wkrótce zaczną mówić o nim.

— Dobry, poczciwy chłopak, ten de Sauves, umie być prawdziwym przyjacielem, rzekł pan d'Éricey.

(d. c. n.)

ze wstążki, na drugim kwiaty takie jak przy głowie. Na głowie wianeczek z róż różno kolorowych i liści do cieniu.



N. 16. Plecy i upięcie trenu do r. 13 w N. 8.

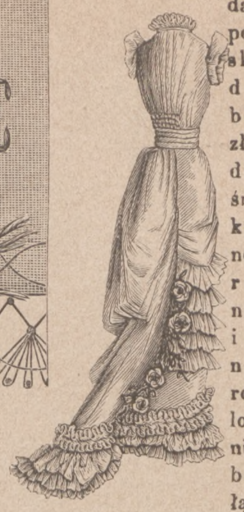


N. 18—19. Szlaczek haftowany kolorowemi jedwabiami i złotem, oszyty koronką złotą.

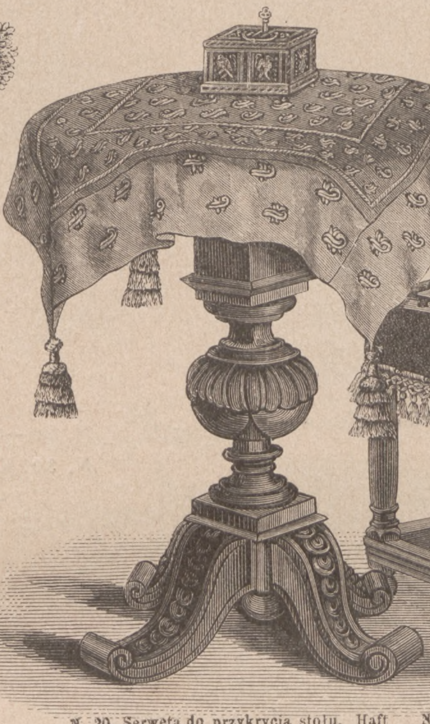
N. 7—11. Wachlarz z haftem maurytańskim.

Materyał: cienkie płótno szare, cienki jedwab i pele różnokolorowe małe blaszki nitki prawdziwe złote.

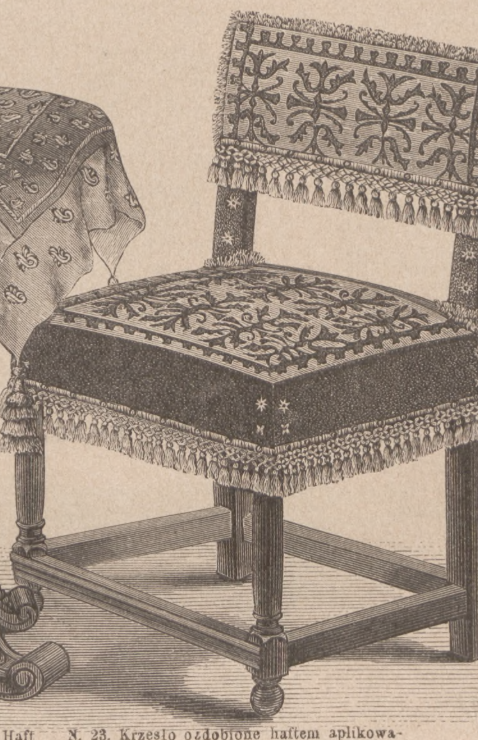
Bardzo piękne i kosztowne wachlarze z materyi lub atłasu białego, ozdobione bywają różnokolorowym haftem maurytańskim, robionym na cienkim płótnie. Ryc. 16 przedstawia deseń na jedno ze zwierzchnich skrzydełek, w którem w środku pozostawione miejsce na wprawienie małego zwierciadełka, ryc. 11 drugie zwierzchnie skrzydełko, całe zahaftowane. Deseń rysuje się na płótnie, następnie wszędzie kontury obwodzi podwójna nitka złota, rzadko przydziergana cienkim jedwabiem niebieskim, przyczem nitki brzeżne złote zakłada się w pentelki stanowiące pikoty i służące do łączenia figur z sobą. Na szlaczkach brzeżnych dane są supełki niebieskie przedzielane blaszkami złotemi. W deseniach środkowych kwiaty robione kolorem różowym, niebieskim i lila do cieniu, liście różnemi zielonemi cieniami a arabeskowe gałązki cieniem żółtawo orzechowym do ciemnego, filozelą dwunitkową. Wszędzie złote obwódki są przydziergane najciemniejszym cieniem koloru zapełniającego środek. Szlaczek górny wachlarza, którego jedną figurę damy na ryc. 9 robić kolorem zielonym i różowym do cieniu. Wszędzie w sposób na rycinach wskazany wśród haftu naszywać blaszki złote takim jak tło kolorem. Na całem pokryciu wachlarza rozsiany jest na atłasie rzucik z blaszek złotych. Stosownie do oprawy wachlarza dobiera się kolor atłasu, do kości słoniowej lub konchy perłowej właściwe są kolory jasne, a do szyldkretu lub ciemnego drzewa kolory ciemne.



N. 17. Model pleców i trenu do r. 16 w N. 8.



N. 20. Serweta do przykrycia stołu. Haft złoty w guście tureckim. Zobaczyć próbki roboty na ryc. 21—22.



N. 23. Krzesło ozdobione haftem aplikowanym. Część deseniu w naturalnej wielkości rycina 24.



N. 21. Pojedyncza figura do haftu tureckiego do ryciny 20.

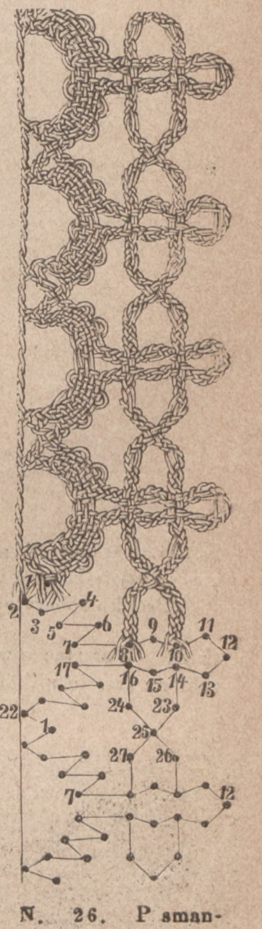


N. 22. Próbka haftu tureckiego do ryc 20.

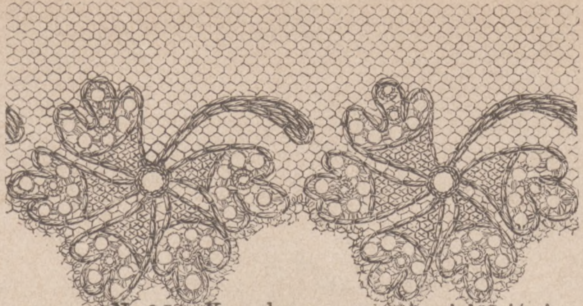




N. 25. Koronka robiona na szpilkach z nici złotych i srebrnych o 20 klockach.



N. 26. Pasmanterya w guście włoskim robiona na szpilkach. Klocków 18.



N. 27. Koronka cerowana na tiulu nićmi płaskiemi i koronkowemi.



N. 28—29. Ubrania dla dzieci.
N. 28. Sukienka z plastronem. N. 29. Sukienka ozdobiona szarfą.



N. 32. Kosz do papierów.



N. 30—31. Kostiumy dziecinne na zabawę maskową.
N. 30. Kostium rybaczki neapolitańskiej. N. 31. Kostium z czasów dyrektoryatu, dla chłopczyka.



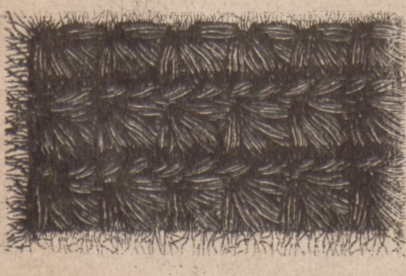
N. 32—35. Różne parasole.

N. 18 i 19. Szlaczek do serwetek na stoliki, patarafek i t. p. Haft w guście rokoko kolorami i złotem. Koronka złota.

Tło pod haft stanowić może żółtawe kanwowe płótno, atłas aksamit lub sukno. Kontury deseniu trzeba na tle odrysować następnie obwieść sznureczkiem złotym, przyszywanym jedwabiem żółtym. Częścią na zewnątrz a częścią na wewnątrz przy sznureczku dana obwódka jedwabiem kolorowym, ściegiem na dwie strony jednakowym, którym także wyszyte pojedyńcze ściegi; środek zapełniony ściegiem płaskim jedwabiem blado ponsowym i niebieskim. Warsztacikowa złota koronka robiona sześciu nitkami.



N. 36. Kapelusz dla małej dziewczynki robota szydełkowa z włóczki włochatej. Próbka roboty ryc. 38 i 39.



N. 38. Próbka ściegu gwiaździstego do ryc. 36 i 37.



N. 40. Suknia ze stanikiem bawetowym, ozdobiona szeroką frendzlą dżetową.

N. 41. Suknia ze stanikiem bluzkowym i pasem „medicis.“

N. 42. Suknia z vetement dla małej panienki.

N. 20—22. Serweta na stół. Haft złotem w guście tureckim.

Za model służyła nam poduszka haftowana podług dawnych wzorów, złotem i srebrem na tle rubinowem aksamitnem. Na rycinie 21—22 dajemy deseń rzuciku w naturalnej wielkości i uczymy sposobu haftu, któren tylko w krośnach może być pięknie i równo odrobiony. Za podkład służy oddzielny z przędzy (na ten cel wyrabianej) o 25 nitkach, koloru ponsowego, którą równo i gładko układa się podług deseniu, sposobem na ryc. 22 wskazanym, i przeszywa poprzecznie w równych odstępach bawełną białą. W końcu za ostatniem przeszyciem można nitki uciąć, bo haft przykrywa je i umacnia dostatecznie.

(d. n.)



N. 37. Kapelusz robiony szydełkiem. Zobaczyć przód na ryc. 36. próbki na ryc. 38—39.



N. 39. Próbka roboty oszycia do ronda do ryc. 36 i 37.